



■ NIECH BĘDĄ
ZACHOWANE
PROPORCJE

■ ZADZIWI SIĘ
ŚWIATEM,
CZŁOWIEKIEM,
KULTURĄ

■ NOWY SYLABUS
- ZMORA CZY SZANSA?



15

18

24

30

38

42

TLUMACZ ŚWIATA BAŁKAŃSKIEGO

MATEMATYKA PO CHIŃSKU

MIEDZY PRAKTYKĄ A IDEOLOGIĄ

DŹWIĘK DZWONÓW NIESIE SIĘ NIE CAŁKIEM CZYSTO

W PLENERZE

U ŹRÓDEŁ WSPÓŁCZESNOŚCI

str. 20

PALMYRA MIASTO ZBUDOWANE PRZEZ DŻINY

Rekonstrukcja świątyni Allan, wyk D. Tarara

W NUMERZE

ROZMOWA UW

2. NIECH BĘDĄ ZACHOWANE PROPORCJE — rozmowa z prof. Renatą Siemieńską-Żochowską

WYDARZENIA

5. KALEJDOSKOP
14. NOMINACJE PROFESORSKIE
15. TŁUMACZ ŚWIATA BAŁKAŃSKIEGO | Izabela Kraszewska
16. W POSZUKIWANIU SENSU | Izabela Kraszewska

BADANIA

17. NA PERYFERIACH UKŁADU SŁONECZNEGO | Andrzej Udalski
18. MATEMATYKA PO CHIŃSKU | Katarzyna Łukaszewska
20. PALMYRA — MIASTO ZBUDOWANE PRZEZ DŻINY | Marcin Wagner
21. ILE EWOLUCJI W OCHRONIE PRZYRODY? | Anna Karnkowska-Ishikawa, Barbara Pietrzak
22. ZADZIWI SIĘ ŚWIATEM, CZŁOWIEKIEM, KULTURĄ | Lech Mróz
23. WSPÓLNOTA WYOBRAŻONA CZY WSPÓLNOTA KRWI? | Anna Malewska-Szałygin
24. MIĘDZY PRAKTYKĄ A IDEOLOGIĄ | Wojciech Lipiński
25. BOJKOWSZCZYNA — KRAINA POGRANICZA | Tadeusz Baraniuk

STUDIA

26. NOWY SYLABUS — ZMORA CZY SZANSA? — rozmowa z prof. Martą Kicińską-Habior

ROK FRYDERYKA CHOPINA

28. STWORZYĆ POMNIK CHOPINOWI | Ewa Perlińska

OPINIE

30. DŹWIĘK DZWONÓW NIESIE SIĘ NIE CAŁKIEM CZYSTO | Marcin Kula
34. Z KAŻDYM NALEŻY DYSKUTOWAĆ — rozmowa z prof. Henrykiem Samsonowiczem

VARIA

35. NIE TAKI TRUDNY PIERWSZY KROK | Izabela Kraszewska
35. GŁOS W DEBACIE
35. PRZEGLĄD PRASY
36. NIE ZAMIERZAM BIĆ REKORDÓW — rozmowa z dr Iwoną Szumacher
37. DZIWNE ŚWISTY I SZELESTY — rozmowa z Zenildą Yolandą Vando Malongamayi

STUDENCKI GŁOS

38. W PLENERZE | Ewelina Tomczak
40. ZIEMIA NALEŻY DO DUCHÓW | Karolina Szmigielska
41. ODPOWIEDZIALNOŚĆ W PRAWIE MIĘDZYNARODOWYM | Oktawian Kuc
42. U ŹRÓDEŁ WSPÓŁCZESNOŚCI | Anna Bińkowska, Konrad Gutkowski

DZIEJE UW

43. POCZET REKTORÓW | Robert Gawkowski

RÉSUMÉ

44.

ODESZLI

44.

NIECH BĘDĄ ZACHOWANE PROPORCJE

W latach 80. minionego stulecia mężczyźni stanowili 70% wszystkich osób, którym nadawano stopień doktora. Dziś proporcje między kobietami i mężczyznami ze stopniem doktora są wyrównane. Jednak im wyższy stopień czy tytuł naukowy, tym różnice w liczbach promowanych kobiet i mężczyzn są większe. Wśród osób, którym nadano tytuł profesora w 2007 r. kobiety stanowiły zaledwie 26% – co jednak ciekawe, odsetek kobiet-profesorów należy w Polsce i tak do najwyższych w Europie.

O płci w nauce i warunkach robienia kariery w Polsce oraz godzeniu roli rodzica z pracą naukową z prof. Renatą Siemieńską-Żochowską rozmawia Anna Korzekwa

Jeszcze sto lat temu kobiety nie mogły studiować na Uniwersytecie Warszawskim. Dziś odsetek kobiet-profesorów należy w naszym kraju do najwyższych w Europie.

R. Ś-Ż.: Tak i można by pomyśleć, że nie ma żadnego problemu. Ale jeśli mówimy o obecności kobiet w nauce, to musimy zastanawiać się nad kontekstem, w jakim działają uczelnie i w jakim działa nauka w ogóle. Jest pewna korelacja między liczbą kobiet w nauce, a sposobem jej finansowania. Tam gdzie nauka jest gorzej finansowana, tam jest więcej kobiet. I tak jest w Polsce.

Wprawdzie autorzy badania zamówionego przez minister Barbarę Kudrycką w firmie Ernst&Young, twierdzą, że nauka w Polsce dysponuje ogromną ilością pieniędzy, tyle że są one źle wydawane, ale to nieprawda. Wciąż brakuje środków na wynagrodzenia i na badania.

Zaproponowałam nawet jednej z osób, która była w pobliżu tego projektu, by dokonała prostego obliczenia – jak wyglądają prawdziwe, a nie wydumane wynagrodzenia na Uniwersytecie Warszawskim, Jagiellońskim, kilku innych uczelniach i zobaczyła, na co może liczyć pracownik naukowy – licząc od najmłodszego do najstarszego. Sama znam przypadki, gdy bardzo dobrze wykształceni młodzi naukowcy nie mogli dostać kredytu, ponieważ ich wynagrodzenia były za niskie. A to był kredyt mieszkaniowy, a nie na zakup jachtu!

Zawsze można ubiegać się o jakiś grant.

R. Ś-Ż.: Oczywiście, można i należy. Tylko wiemy, że finansowanie z grantów nie zapewnia systematycznych dochodów i prawdziwej stabilizacji.

Dużo kobiet w nauce jest też w bogatej Finlandii i np. Portugalii.

R. Ś-Ż.: W każdym z tych trzech krajów, które mają wysoki odsetek kobiet-profesorów, działały inne czynniki; w każdym przypadku kontekstualne. Portugalia, która jest krajem katolickim, raczej konserwatywnym, miała w swojej przeszłości epizod wojny w Angoli – wojny o utrzymanie kolonii. Wtedy pewne roczniki mężczyzn „wypadły”, a ich miejsce na uczelniach zajęły kobiety. W Finlan-

dii wysoki udział kobiet jest efektem równościowej polityki. Choć gdy my sobie wyobrażamy kraje skandynawskie jako wzorcowe, oni sami patrzą na to z trochę większym dystansem. Ale każdy ma własną perspektywę.

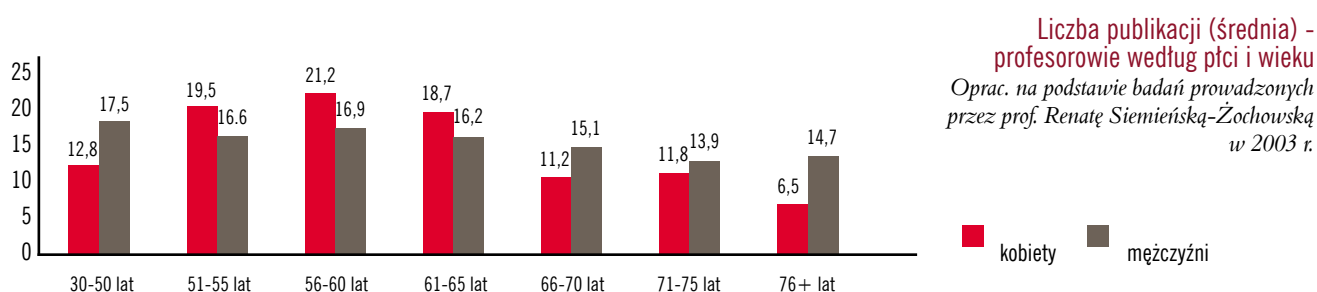
Jeżeli chcemy wytłumaczyć wysoką obecność kobiet w polskiej nauce, to też musimy powiedzieć, co się dzieje z mężczyznami.

A co się dzieje?

R. Ś-Ż.: Mężczyźni odpłynęli z uczelni. Albo nie są w stanie zdobywać stopni i tytułów naukowych, bo pracują na kilku uczelniach, albo w ogóle rezygnują z kariery akademickiej i przenoszą się gdzieś, gdzie otrzymują dużo wyższe wynagrodzenia. Zgodnie z naszym kulturowym wyobrażeniem, podzielanym przez znaczną część społeczeństwa, mężczyzna powinien przynajmniej zarabiać więcej, być „main breadwinner” – głównym żywicielem rodziny. Dlatego na uczelniach od początku lat ’90 wytwarzało się swego rodzaju *vacuum*, a dzięki temu kobiety szybciej awansowały. To oczywiście nie znaczy, że nie reprezentowały sobą odpowiedniego poziomu. Ale nie startowały w konkurencji z mężczyznami.

„Polityka” określiła kilka lat temu młodych naukowców, którzy chcą robić karierę w Polsce mimo lichych zarobków i niewesołych perspektyw, mianem *desperados*. A jednak przecież takich osób nie brakuje i jakoś łączą pracę na uczelni z utrzymaniem rodziny.

R. Ś-Ż.: Jeżeli chcemy robić karierę akademicką, to trzeba mieć zaplecze i wsparcie. W takich krajach jak nasz bardzo wiele zależy od wsparcia rodziny, tak czy inaczej udzielanego. Jednakże jeżeli ktoś jest z Białegostoku czy z Łodzi, a pracuje w Warszawie, to nie może liczyć na pomoc rodziców czy teściów w opiece nad dziećmi czy w prowadzeniu gospodarstwa domowego. Ale jeżeli ma Pani małe dziecko i mieszka Pani na Ursynowie, a Pani rodzice na Bemowie, to Pani mama często czuje się w obowiązku świadczenia tego typu pomocy. Choć trzeba pamiętać, że Pani mama też ma prawo do własnej kariery lub ogólniej własnych planów życiowych. Już



Panią wychowała i wyprowadziła na ludzi. Mobilność geograficzna i zmiana systemów wartości na taki, który w większym stopniu uwzględnia prawo do samorealizacji jednostek, redefiniuje i ogranicza zakres świadczonej pomocy wewnątrz rodziny.

Wsparcie ze strony rodziny działa w dużo mniejszym stopniu w innych krajach, zwłaszcza np. w Stanach Zjednoczonych.

Może w takim razie należałoby wprowadzić jakieś rozwiązania systemowe, by pomóc rodzicom łączyć karierę z wychowywaniem dzieci?

R. Ś-Ż.: W Stanach Zjednoczonych takich rozwiązań nie ma, a mimo to Amerykanie mają największe osiągnięcia naukowe. Ale tam pracownik naukowy nie ma problemu z opłaceniem dziecka przedszkola. A w Polsce, jeżeli ktoś jest adiunktem i zarabia na UW 2700 zł, to jak ma zapłacić za nie 500 czy 1000 zł?

Najpierw musi znaleźć miejsce w takim przedszkolu. A to podobno nietatwe.

R. Ś-Ż.: Założmy, że w prywatnym takie miejsce znajdzie, ale go na to nie stać. Dlatego młodzi ludzie będą odchodzili i wyjeżdżali za granicę.

Znów wróciłyśmy do wynagrodzeń. Nie sądzę, żeby w tej sprawie szybko coś się zmieniło. Za chwilę więc dojdziemy do bardzo pesymistycznych konkluzji.

R. Ś-Ż.: Nie trzeba podnosić wynagrodzeń wszystkim. Ale jeżeli ktoś ma dziecko i płaci za przedszkole, to powinien dostawać zwrot części opłaty. Wysokość takiego dofinansowania powinna być taka sama dla wszystkich znajdujących się w tej sytuacji. Może wynosić np. 500 zł – niezależnie od tego, czy ktoś pośle dziecko do przedszkola, w którym płaci 500 zł czy 2000 zł. Ale decyzja w tej sprawie musiałaby zapaść w ministerstwie. Wiadomo, że uniwersytet nie ma pieniędzy.

Padła też propozycja, żeby uniwersytet otworzył własne przedszkole.

R. Ś-Ż.: Byłoby to rozwiązaniem korzystnym dla osób, które codziennie pracują w laboratoriach. Ale całkiem spora część pracowników naukowych nie ma własnego biurka i nie ma własnego krzesła na uniwersytecie! Dlatego takie przedszkole nie mogłoby być jedynym rozwiązaniem.

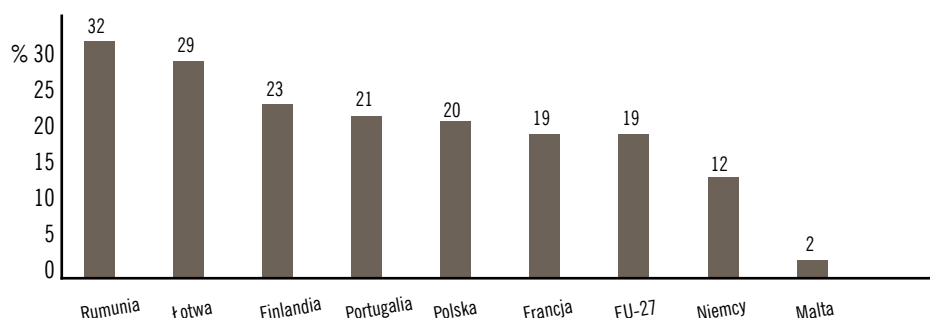
Powiedzmy, że mieszka Pani w Łomiankach i część tygodnia spędza Pani pracując u siebie w domu. Jeśli chce Pani posłać dziecko do przedszkola, to wtedy znacznie bardziej użyteczna byłaby dopłata. Bo co z tego, że przedszkole będzie na głównym kampusie, jeśli Pani mieszka pod Warszawą? Całkowicie od rzeczy.

Dofinansowywanie byłoby też tańsze. Tworzenie przez uniwersytet własnego przedszkola byłoby wyrzucaniem pieniędzy w błoto. Bo mogłoby się okazać, że np. na kampusie Ochota powstało przedszkole na 100 dzieci, a dzieci z tego kampusu jest dziesięciokrotnie.

Albo uniwersytet mógłby też zaproponować komuś z zewnątrz otwarcie tam przedszkola. Można by wtedy powiedzieć „proszę państwa, my państwu dajemy lokal i będziemy dofinansowywać pobyt dzieci pracowników UW w przedszkolu, a państwo nam gwarantują, że nasze dzieci będą miały pierwszeństwo”. To uważam za bardzo sensowne.

Procentowy udział kobiet wśród osób z tytułem profesora

Oprac. na podstawie raportu Komisji Europejskiej pt. „She Figures 2009. Statistics and Indicators on Gender Equality in Science”, http://ec.europa.eu/research/sciencetools/document_library/pdf_06/she_figures_2009_en.pdf, [stan na: 25.06.2010].



Prof. Renata Siemieńska-Żochowska,
fot. M. Kaźmierczak, PFP UW

Rozmawiałam kiedyś w Saragossie o takich problemach z paniami, które były już profesorami i miały ten etap życia za sobą. Pytałam je o to, co im ułatwiło karierę. Co one robiły? I usłyszałam, że w Hiszpanii obowiązywało i obowiązuje prawo ułatwiające legalizację opieki nad dziećmi. Powiedzmy, że mieszka Pani w 5-piętrowym domu, w którym mieszkają też inne matki. Chce Pani pracować naukowo, ale wśród innych matek jest i pani, której nie zależy na tym, żeby pracować poza domem, ale z przyjemnością zarobi jakiś pieniądze. I ta pani może postarać się o zezwolenie na opiekę nad jeszcze dwojgiem czy trojgiem dzieci. Może się zająć za opłatą opieką nad Pani dzieckiem. Taką działalność się rejestruje, a osoby, które mają się opiekować dziećmi, odpowiednio sprawdza.

A to daje jakieś szczególne korzyści?

R. Ś-Ż.: Ano korzyści są takie, że mniejsze skupienie dzieci oznacza mniejsze prawdopodobieństwo infekcji. Poza tym z taką osobą można negocjować, można spróbować się dogadać, „proszę pani, ja odbiorę dziecko o 20, a przyprowadzę o 13”. A jednocześnie panie, które temu się poświęcają, mają ciągłość pracy, zarabiają, płacą podatki. A te, które powierzają im swoje dzieci – czują się bezpiecznie. Trudne? Chyba tylko dla nas.

Zaczęłyśmy od kobiet. To one wykonują gros obowiązków rodzinnych.

Jak to wpływa na karierę naukową?

R. Ś-Ż.: Praca naukowa to nie jest praca porównywalna z pracą robotnicy w fabryce, która może urodzić dziecko, potem wziąć urlop wychowawczy i wrócić do fabryki po 5-6 latach i już po kilku dniach się w niej na nowo odnaleźć – no chyba, że całkowicie park maszynowy zmienia. Tu trzeba być stale na bieżąco. A to wymaga znacznie

większych inwestycji ze strony kobiety, lepszej organizacji, większego wsparcia ze strony rodziny.

Na podstawie badań wiemy, że okres robienia doktoratu przez kobiety jest dłuższy niż okres robienia doktoratu przez mężczyzn. Ale na ostatnim etapie kariery, między habilitacją a profesurą, kobiety awansują szybciej niż mężczyźni. Uwolnione od opieki nad dziećmi, po prostu siadają do biurka. Gorzej, że robią to już w późniejszej fazie życia.

Z badań, które Pani prowadziła, wynika, że kobiety i mężczyźni między 30. a 40. rokiem życia mają mniej więcej tyle samo publikacji. Dla pań to często okres macierzyństwa. A co w tym czasie robią mężczyźni?

R. Ś-Ż.: Jeżeli jest Pani pracownikiem naukowym i rodzi Pani dziecko, to co wtedy robi Pani partner? Jeżeli tylko ma możliwość, więcej pracuje, bo musi zarobić więcej, aby utrzymać standard życia. Kobiety mają mniej czasu na pisanie, bo opiekują się dzieckiem, a mężczyźni nie publikują, bo przy tak niskich wynagrodzeniach muszą podjąć dodatkową pracę po to, żeby utrzymać rodzinę. No, chyba że pracownik naukowy żeni się z bizneswoman, która ma elastyczny czas pracy. Wtedy ona utrzymuje jego. W przeciwnym razie to po prostu są generacje, które płacą wysoką cenę za wybór kariery naukowej.

A jak wytłumaczyć to, że kobiety po 65. roku życia znów publikują mniej niż mężczyźni?

R. Ś-Ż.: Trzeba zdawać sobie sprawę, że to pewne uproszczenie. Liczba publikacji to nie jest liczba publikacji pisanych indywidualnie, ale również tych, które były pisane przez wielu autorów; co jest bardzo popularne w przypadku takich nauk jak chemia, biologia czy medycyna.

Kierownikami zespołów częściej są mężczyźni, więc i oni częściej pojawiają się w publikacjach. Jest taka zasada, że jeżeli badanie jest robione w laboratorium, które Pani urządziła i na które Pani zdobyła pieniądze, a także przeważnie jest Pani pomysłodawcą prowadzonych badań, Pani nazwisko figuruje wśród autorów artykułu. Dlatego szef będzie miał zawsze więcej publikacji niż członkowie jego zespołu. Wśród osób powyżej 65. roku życia liczba mężczyzn kierowników katedr, zespołów badawczych jest większa niż wśród młodszych.

Kobiety rzadziej starają się też o stypendia zagraniczne.

R. Ś-Ż.: Mężczyźni częściej są członkami zespołów międzynarodowych. Żeby być członkiem takiego zespołu, musi Pani być znana na tyle, żeby ktoś Pani to członkostwo zaproponował. A jeżeli Pani w jakiejś fazie życia uzna, że nie będzie Pani porzucać dziecka, żeby wziąć udział w jednej czy drugiej konferencji, to Pani w tym świecie nie istnieje. Mężczyźni są bardziej mobilni we wcześniejszych fazach życia zawodowego. Ta odmienność trajektorii uwarunkowana odmiennymi obowiązkami we wczesnych okresach życia zawodowego przekłada się na charakter późniejszych możliwości.

A jak to wygląda w przypadku grantów?

R. Ś-Ż.: Wskaźnik sukcesu pomiędzy liczbą złożonych podań o granty i przyznanych (tzw. *gender gap*), lepiej kształtuje się w przypadku mężczyzn niż kobiet. Jedną z hipotez jest taka, że kobiety przedkładają mniej interesujące propozycje i gorzej przygotowane. Ale można też zaryzykować hipotezę, że działa trochę inny mechanizm.

Można się zastanawiać czy nie działa tutaj kwestia określonej sieci. Jeśli pracuje Pani naukowo, to zna Pani osoby, które zajmują się podobną tematyką. I zwykle jest Pani skłonna przyznać grant komuś, kogo zna Pani z tej sieci – będąc przeświadczoną, że ten właśnie autor gwarantuje lepsze rezultaty podejmowanych badań. Często są to projekty na bardzo podobnym poziomie, a finansowanie może dostać cząstka z nich. A ponieważ działania w nauce zależą od tych, którzy mają pozycję, a tymi liczącymi osobami są częściej mężczyźni niż kobiety, to może to ma wpływ na przyznawanie grantów.

Prof. dr hab. Renata Siemieńska-Żochowska jest socjologiem, pracownikiem Instytutu Socjologii UW i dyrektorem Instytutu Studiów Społecznych im. Profesora Roberta B. Zajonca. Zajmuje się m.in. socjologią polityki, kulturą polityczną oraz sytuacją kobiet na rynku pracy. Jest członkiem grupy eksperckiej Komisji Europejskiej „Gender and Excellence”, zajmującej się determinantami karier naukowych; kieruje także polską częścią badań „Gender elites and work-care relations” w ramach projektu „WORKCARE Synergies”. Celem tego ostatniego projektu jest upowszechnienie wyników badań dotyczących modeli godzenia pracy i ról rodzicielskich w krajach europejskich, w różnych grupach społecznych. Projekt rozpoczął się w tym roku i potrwa do 2012 r.

Dlaczego kobiet na liczących stanowiskach jest tak mało?

R. Ś-Ż.: Kobiet się nie wybiera. Ma miejsce pewne zjawisko kulturowo zakorzenione, które powoduje, że stanowiska decydenckie w nauce zajmuje nieporównanie więcej mężczyzn.

Bardzo mało kobiet jest np. w Polskiej Akademii Nauk. Mało tego, na naszej własnej uczelni w różnych komisjach senackich jest znacznie mniej kobiet. Poza tym w tzw. „znaczących” komisjach prawie nie ma kobiet.

A które to komisje?

R. Ś-Ż.: Ważne są komisje wpływające na alokację środków, kształt współpracy zagranicznej. Nie komisja opieki socjalnej, która ma znacznie mniej środków finansowych i nie jest uważana za tę, od której zależy rozwój i pozycja uczelni w kraju i na świecie.

A pani rektor? Mamy i mieliśmy w minionej kadencji też panie prorektor.

R. Ś-Ż.: Pani rektor jest wyjątkiem, absolutnym wyjątkiem. Kobiet się po prostu nie wybiera.

Chłopców uczy się, że mają być zdecydowani, a dziewczynki, żeby były grzeczne, uprzejme, żeby robiły miłe wrażenie i mówiły „wydaje mi się”. A efekt jest taki, że nawet, gdy o tym samym mówią kobiety i mężczyźni, to mężczyźni mówią w sposób bardziej przekonujący, a kobiety wypadają blade w ekspresji.

Pamiętam z roku ‘80, z czasów pierwszej „Solidarności”, wielogodzinne zebrania na uczelni. Gdy przychodziło do wyboru przedstawiciela do jakiegoś gremium, które miało się zająć zwolnieniami dawkowanymi w poprzednich latach – czy były one naukowo usankcjonowane czy politycznie – no to wybierano osobę, która mówiła „musimy zbadać na jakiej podstawie zwalniano”, a nie taką, która mówiła: „wydaje mi się, że należałoby sprawdzić, dlaczego zwolniono określone osoby”. Wiadomo, który sposób formułowania propozycji robi większe wrażenie.

Należałoby wprowadzić parytet?

R. Ś-Ż.: Kobiety powinny zabiegać o monitorowanie składów różnych ciał, od których zależą decyzje, a mężczyźni też powinni mieć świadomość wagi problemu. W projektach Komisji Europejskiej zawsze się zaznacza, że należy zwrócić uwagę na *gender balance*. I bynajmniej nie chodzi o to, żeby wziąć słabą badaczkę zamiast dobrego badacza. Ale obowiązkiem gremium decydującego o rozdziale środków winno być sprawdzanie, czy ubiegające się badaczki nie proponują projektu tej samej jakości co mężczyźni. Mamy bowiem zinternalizowany filtr stereotypu, że propozycje kobiet zapewne odbiegają w dół jakością przedstawianych aplikacji, że autorki nie wykonują podjętych zadań w terminie itd. Nie jest to prawda, ale często nieświadomie decydenci (kobiety i mężczyźni) ulegają stereotypom. Sadzę, że zasada proporcjonalności reprezentacji kobiet i mężczyzn w różnych gremiach decydenckich, a także wśród otrzymujących granty i stypendia powinna być zasadą braną na serio przy podejmowaniu decyzji. Nie chodzi tu o stwarzanie szczególnych przywilejów dla kobiet, a o uniknięcie ich pomijania. Jeśli nadają się, aby osiągać pozycje w hierarchii naukowej uczelni, nie uprawnionym jest domniemanie, że nie nadają się aby wchodzić w skład gremiów decydenckich.

Uniwersytet znowu najlepszy!

Już po raz 11. redakcje magazynu „Perspektywy” oraz dziennika „Rzeczpospolita” ogłosiły wyniki rankingu szkół wyższych. Od pierwszej edycji o zwycięstwo rywalizują dwa uniwersytety – Warszawski i Jagielloński. W dotychczasowych dziesięciu edycjach uczelnie podzieliły się pierwszymi miejscami, każda z nich wygrywała pięciokrotnie, gromadząc maksymalną liczbę 100 punktów. W ubiegłym roku górą był UJ, UW przegrał o zaledwie 0,1 pkt. Tym razem role się odwróciły. To UW otrzymał 100 punktów, UJ zabrakło do naszej uczelni 0,73 pkt. Na trzecim miejscu uplasował się Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, tracąc blisko 20 punktów do zdobywców dwóch pierwszych miejsc.

Odbierając nagrodę za pierwsze miejsce, prof. Katarzyna Chałasińska-Macukow, rektor UW, żartobliwie skomentowała odwieczną rywalizację z UJ: – Obiecałam rektorowi Karolowi Musiołowi, że oddam mu pierwsze miejsce, jeśli zabiorą stolicę chociaż na chwilę do Krakowa, żebyśmy tu w Warszawie mogli odpocząć – zaproponowała.

W rankingu przyznawane są również nagrody dodatkowe i specjalne. Redakcje analizują jakość kształcenia w ramach kategorii uczelni oraz grup kierunków studiów, tworząc tzw. podrankingi. Nasza uczelnia zajęła pierwsze miejsce w kategorii „Najlepsze uniwersytety” i otrzymała nagrodę dodatkową dla „Najbardziej umiędzynarodowionej uczelni”. W podrankingu „Prestiż według kadry akademickiej”, „Siła naukowa” oraz „Publikacje naukowe w latach 2005-2009” przypadło nam drugie miejsce. Na dziewięć analizowanych grup kierunków studiów, aż w czterech najlepiej oceniono studia prowadzone na Uniwersytecie. Pierwsze miejsce przyznano nam w kategorii kierunków: społecznych, prawa i administracji, przyrodniczych i biologicznych oraz nauk ścisłych. W dwóch grupach – kierunków ekonomicznych i humanistycznych – UW uplasował się na drugim miejscu.

Ranking „Perspektyw” i „Rzeczpospolitej” jest jedynym, w którym Uniwersytet wziął w tym roku udział, mimo że uczelnia – jak co roku – zasypywana była ofertami uczestnictwa w rozmaitych tego typu zestawieniach. Podobną decyzję podjęło wiele innych dużych uniwersytetów, w tym UJ. Nie był to jednak wynik braku odwagi, jak napisał jeden z tygodników, lecz jasny przekaz wobec twórców rankingów, które już od wielu lat budziły wątpliwości uczelni i specjalistów. Nieprzemyślana metodologia, nieprecyzyjne pytania pozostawiające szerokie pole do interpretacji, niedostosowanie do zróżnicowania rynku edukacyjnego w Polsce – wszystko to podawało w wątpliwość możliwość obiektywnego porównywania zebranych danych, a zatem i rzetelność samych wyników rankingów. A przecież dla maturzystów stanowią one jeden z ważniejszych czynników przy wyborze uczelni, dlatego powinniśmy dbać o ich wiarygodność.

W tym roku poziom niektórych rankingów był tak niski, że wiele uczelni nie chciało firmować ich swoją nazwą. Autorzy zestawień wykazali się nieznajomością nie tylko polskiego rynku edukacyjnego, ale nawet podstawowych przepisów prawa dotyczących szkolnictwa wyższego. W jednej z rankingowych ankiet pojawiło się np. pytanie o to, jak uczelnie sprawdzają wiedzę kandydatów na studia? Czy dla osób podejmujących się trudnego zadania oceny jakości kształcenia na uczelniach nie powinno być oczywiste, że rekrutacja na studia stacjonarne w Polsce od pięciu lat odbywa się na

podstawie wyniku egzaminu maturalnego? Jedyne wyjątkowo, na nielicznych kierunkach uczelnie mogą za zgodą ministra organizować dodatkowe egzaminy „w zakresie niepowtarzającym przedmiotów maturalnych”.

Przykłady kuriozalnych pytań można by mnożyć. Autorzy tego samego rankingu chcieli też np. wiedzieć, ilu studentów odbywało w roku akademickim 2008/2009 praktyki w firmach zatrudniających powyżej 100 pracowników. Każdy student, spośród kilkudziesięciu tysięcy uczących się na UW, odbywa praktyki. Skontrolowanie, ilu z nich miało staż w firmach zatrudniających 100 pracowników, jest niemożliwe. Bo jak ustalić stan zatrudnienia zewnętrznych firm? A nawet gdyby ustalenie takich danych było możliwe, to trudno pojąć, czemu ta wiedza miałaby służyć. Czy praktyka w firmie zatrudniającej 99 osób ma mniejszą wartość niż w firmie zatrudniającej 101 osób?

Wtęć absurdalne wydaje się pytanie o to, ilu pracowników naukowo-dydaktycznych wyjechało za granicę w 2009 r. Autorzy nie zaznaczyli w żaden sposób, o jakie wyjazdy chodzi. Czy należało podać wyjazdy pracowników w celach dydaktycznych i naukowych? A może doliczyć też ich udział w konferencjach? A może dodać także wyjazdy wakacyjne?

Z opisanym powyżej problemem niskiej wiarygodności rankingów uczelni boryka się nie tylko polskie środowisko akademickie, podobne obawy pojawiły się też w innych krajach. Troska o rzetelne opracowywanie rankingów jest głównym celem międzynarodowego stowarzyszenia IREG Observatory on Academic Ranking and Excellence. Podczas spotkania w Berlinie w 2006 r. członkowie IREG przyjęli zasady, które zapewni mają rankingom wysoką jakość, wymienili m.in. precyzyjne określenie adresatów rankingu oraz dostosowanie go do różnorodnego charakteru uczelni wyższych, ich misji i celów. Metody przeprowadzenia badania powinny być jasne i jednoznaczne, pytania w rankingowych ankietach – dobierane ze względu na ich przydatność, a nie łatwą dostępność. Jasno określone powinny być też zasady dotyczące przypisywania wagi określonym wskaźnikom. Warto byłoby, aby i twórcy polskich zestawień, przed przyszłorocznym rozesłaniem ankiet do uczelni, zapoznali się z zaleceniami ekspertów i pomyśleli nie tylko o ocenie jakości kształcenia akademickiego, ale i o jakości samych rankingów.



Rektor UW odbiera z rąk gościa Andrzeja Smirnowa nagrodę za I miejsce w rankingu „Perspektyw” i „Rzeczpospolitej”, fot. K. Wojciewski

I Z obrad Senatu

Zakaz konkurencji

W maju Senat UW poparł propozycję zmian w ustawie „Prawo o szkolnictwie wyższym”, przygotowaną przez MNiSW, dotyczącą obowiązku uzyskania przez nauczyciela akademickiego zgody rektora na podjęcie dodatkowego zatrudnienia. Dziś o pierwszym dodatkowym zatrudnieniu nauczyciel akademicki jedynie zawiadamia rektora (o zgodę musi prosić, tylko gdy chce podjąć pracę u dwóch pracodawców poza UW). Jeśli zmiany proponowane przez MNiSW wejdą w życie, zgoda rektora będzie potrzebna już na uzyskanie pierwszego zatrudnienia.

Jednocześnie członkowie Senatu UW zwrócili uwagę, że zaostreżający się od jakiegoś czasu konflikt interesów czy zobowiązań wobec Uniwersytetu jest wynikiem niskich wynagrodzeń otrzymywanych przez pracowników szkół wyższych. Dlatego zdaniem senatorów UW warunkiem zmiany przepisów w sprawie podejmowania dodatkowego zatrudnienia powinna być też niezwłoczna zmiana prowadzonej przez państwo polityki wynagradzania pracowników uczelni.

Szkodliwe praktyki

W trakcie obrad Senatu prof. Jacek Migasiński, dziekan Wydziału Filozofii i Socjologii, przedstawił także stanowisko rady wydziału w sprawie sposobu prowadzenia zajęć z filozofii i logiki na UW. Rada WFiS zwróciła uwagę, że coraz częściej jednostki UW rezygnują z ćwiczeń i konwersatoriów z filozofii na rzecz wykładów, łącząc grupy ćwiczeniowe i wyznaczają do prowadzenia zajęć z tego przedmiotu pracowników, którzy nie są specjalistami w tej dziedzinie. Tego typu rozwiązania sprawiają, że spada prestiż i ranga zajęć o charakterze filozoficznym. W takich warunkach studenci nie mają możliwości samodzielnego badania i interpretowania tekstów, a nauka przedmiotu ogranicza się jedynie do słuchania prelekcji. Prof. Jacek Migasiński zaapelował o głębszą refleksję nad tą sytuacją oraz o próbę jej zmiany. Przypomniał także, że to właśnie dzięki zajęciom z filozofii, metodologii nauk i logiki studenci UW uczą się krytycznego myślenia i mają większe możliwości adaptowania się do zmiennej rzeczywistości współczesnego świata.

Wyraż swoje zdanie

Od 31 maja na UW trwa trzecia edycja ogólnouniwersyteckiej ankiety, która ma ujawnić największe problemy, z jakimi borykają się studenci naszej uczelni. W dwóch poprzednich edycjach blisko 25 tys. osób wypowiedziało się m.in. na temat USOS-a, organizacji zajęć dydaktycznych, programu studiów, przestrzegania praw studenta czy akademickiej służby zdrowia.

Dzięki dużemu zaangażowaniu studentów w wypełnianie kwestionariusza władze UW podjęły działania, które zmieniają Uniwersytet na lepsze. Przesunięto terminy zapisów na zajęcia WF oraz lektoraty. Zakupiono nowe serwery, aby uniknąć zawieszania się systemu USOS. Rozbudowano opisy przedmiotów w systemie, tak by zainteresowani mogli dowiedzieć się jakie zagadnienia będą poruszane na zajęciach. Udoskonalono uniwersyteckie strony internetowe. A wśród słuchaczy I roku prowadzona była akcja informacyjna o prawach przysługujących studentom.

III edycja ogólnouniwersyteckiej ankiety potrwa do 31 lipca. Każdy student ma szansę wyrazić swoją opinię o UW, logując się w USOSwebie lub wchodząc na stronę ankiet. uw.edu.pl. Ankieta ma charakter całkowicie dobrowolny i anonimowy, a jej wypełnienie zajmuje ok. 15 minut.

Nowości w ofercie UW

Ofertę UW wzbogaciło w tym roku aż 13 nowych kierunków i specjalności I i II stopnia. W październiku ruszy m.in. nowa specjalizacja na kierunku biotechnologia – „biotechnologia medyczna” na studiach II stopnia, która została wyróżniona przez MNiSW w ubiegłorocznym konkursie na tzw. kierunki

zamawiane. Dzięki 680 tys. zł dofinansowania zorganizowane zostaną m.in. zajęcia wyrównawcze dla studentów, program stypendialny dla osób z najlepszymi wynikami w nauce oraz studenckie staże w firmach biotechnologicznych.

Sześć spośród trzynastu nowości skierowanych jest do osób zainteresowanych ekonomią. Wśród nich m.in.: „Quantitative Finance” – nowa specjalność na kierunku finanse i rachunkowość, prowadzona w całości w języku angielskim. Jej program, obejmujący tematykę finansów ilościowych, będzie uwzględniał zarówno teoretyczną, jak i praktyczną stronę zagadnień. Pięć pozostałych nowości WNE uruchomionych zostanie na kierunku ekonomia II stopnia (ekonomia: międzynarodowa, przedsiębiorstwa, sektora publicznego, przedsiębiorczości, integracji gospodarczej).

Na WFiS ruszy specjalność „Philosophy of Being, Cognition and Value” (na studiach I oraz II stopnia), będąca kontynuacją działającej dotychczas specjalizacji „Philosophy Studies in English”. Angielski będzie też językiem wykładowym na nowej specjalności lingwistyki stosowanej – „lingwistyce międzykulturowej”, adresowanej do osób zainteresowanych związkami języka z kulturą i społeczeństwem. – Studia pokazują współczesną lingwistykę jako naukę interdyscyplinarną, budującą nowy obraz nauki społecznie zaangażowanej w krzewienie wartości humanistycznych na potrzeby dialogu społecznego i międzykulturowego w dobie globalizacji – tłumaczy prof. Anna Duszak z ILS.

Ponadto na UW ruszą studia „Polono-Classica” na filologii polskiej oraz nauki o rodzinie na studiach I i II stopnia w Instytucie Polityki Społecznej.

Fizycy na zamówienie

MNiSW ogłosiło pod koniec maja wyniki tegorocznego konkursu na kierunki zamawiane. Spośród 263 wniosków, pozytywnie oceniono 80, ale dofinansowanie otrzyma tylko 39 projektów. W sumie resort przeznaczy na ich wsparcie 210 mln zł. Uniwersytet zgłosił do konkursu dwa wnioski przygotowane wspólnie przez Wydziały Fizyki i Chemii: „Nowe wyzwania – nowe kierunki. Rozwój kierunków interdyscyplinarnych o kluczowym znaczeniu dla potrzeb gospodarki opartej na wiedzy” oraz „Kadry dla polskiej energetyki jądrowej”. Obydwa projekty uzyskały pozytywną ocenę, ale tylko pierwszy znalazł się w gronie 39, które otrzymają dofinansowanie.

Celem projektu „Nowe wyzwania – nowe kierunki” jest zwiększenie zainteresowania dwoma interdyscyplinarnymi makrokierunkami prowadzonymi na Wydziale Fizyki, czyli „zastosowaniami fizyki w biologii i medycynie” oraz „inżynierią nanostruktur” (realizowaną wspólnie z Wydziałem Chemii). Dofinansowanie w wysokości 10 mln zł pozwoli stworzyć program stypendialny dla najlepszych studentów obu kierunków; w 3 edycjach stypendium otrzyma ponad 260 osób. Zorganizowane zostaną zajęcia wyrównawcze z fizyki, matematyki i chemii dla studentów I roku; starsi studenci będą mogli uczestniczyć w zajęciach dokształcających. Na wsparcie będą mogły liczyć studenckie projekty naukowe, warsztaty czy zagraniczne wyjazdy. W planach jest również organizacja praktyk zawodowych dla studentów w instytucjach badawczych i przemysłowych.

Konkursy na kierunki zamawiane organizowane są przez MNiSW od 2008 r. W poprzednich edycjach Uniwersytet uzyskał dotację na prowadzenie: chemii, fizyki, informatyki, matematyki oraz biotechnologii medycznej. W sumie uniwersyteckie wydziały otrzymały na ten cel już ponad 26 mln zł.

Kwantowa kwintesencja

UW został koordynatorem międzynarodowego projektu Q-ESSENCE (skrót od angielskiej nazwy Kwantowe Interfejsy, Sensory i Komunikacja oparte o Splątanie), finansowanego w ramach 7. Programu Ramowego UE. Projekt stawia sobie za cel czerpanie korzyści technologicznych ze zjawisk fizyki kwantowej. Unia przeznaczyła na jego realizację 6,5 mln euro. W najbliższych latach naukowcy zajmą się badaniami zjawiska splątania kwantowego.

Projekt oficjalnie wystartował w lutym 2010 r., na początku marca w Wiedniu odbyło się pierwsze spotkanie partnerów,

w którym udział wzięło ponad 30 naukowców z całej Europy. Koordynatorem projektu jest prof. Konrad Banaszek, a zarządza nim dr Agata Chęcińska, oboje są pracownikami Wydziału Fizyki UW.

Q-ESSENCE to konsorcjum 22 instytucji przemysłowych, akademickich i rządowych z całego świata. Jego celem jest rozwinięcie realistycznych i kompletnych schematów wykonywania zadań ICT.

Więcej o projekcie znaleźć można na stronie: www.qessence.eu.

UW partnerem projektu IMPACT

Katedra Lingwistyki Formalnej UW dołączyła w tym roku do partnerów europejskiego programu IMPACT (IMProving ACcess to Text), którego celem jest ułatwienie dostępu do historycznych dokumentów cyfrowych i wspieranie masowej digitalizacji zasobów. Projekt finansowany jest ze środków 7. Programu Ramowego. Rozpoczął się dwa lata temu, w tym roku ruszyła jego druga faza. Uczestniczy w nim blisko 30 bibliotek, uczelni i instytucji naukowych, jego koordynatorem jest Biblioteka Narodowa Holandii.

Katedra Lingwistyki Formalnej będzie prowadzić prace w zakresie budowania zasobów (leksykonów) umożliwiających ulepszenie technik OCR (Optical Character Recognition), czyli metod służących do rozpoznawania znaków i tekstów w pliku graficznym.

Więcej o projekcie znaleźć można na stronie: www.impact-project.eu

PaliIZ partnerem WNE

14 kwietnia Uniwersytet zawarł umowę z Polską Agencją Informacji i Inwestycji Zagranicznych S.A., której celem jest współpraca na rzecz promowania polskiej gospodarki poprzez tworzenie prestiżowych miejsc pracy oraz kształcenie specja-

listów w dziedzinie ekonomii. Obie strony porozumienia zadeklarowały, że podejmą wspólne badania i analizy, które przyczynią się do polepszenia wizerunku Polski jako partnera biznesowego. Będą też prowadzić prace badawcze dotyczące sytuacji gospodarczej w Polsce oraz opracowywać raporty sektorowe lub branżowe. Podczas podpisywania umowy agencję PaliIZ reprezentował Sławomir Majman, prezes zarządu, zaś Uniwersytet prof. Tomasz Żylicz, dziekan WNE. Zawarte porozumienie będzie obowiązywało przez rok.

Porozumienie z Narodowym Centrum Kultury

29 kwietnia Uniwersytet podpisał umowę z Narodowym Centrum Kultury, dotyczącą współpracy w realizacji projektu „Observatorium Żywej Kultury”. Jego celem jest m.in. stworzenie regionalnej sieci obserwatoriów, które nie tylko będą „archiwami wiedzy”, ale także aktywnymi uczestnikami działań kulturalnych. UW zobowiązał się do pomocy w konstruowaniu systemu gromadzenia i upublicznienia danych o kulturze. Naukowcy z Zakładu Metod Badania Kultury UW opracują autorską definicję kultury, metodologię oraz narzędzia pozwalające opisać zjawiska kulturowe. Przygotują też zestaw wskaźników, które umożliwią prezentację danych na interaktywnej platformie internetowej.

Prof. Włodzimierz Lengauer, prorektor ds. badań naukowych i współpracy z zagranicą, reprezentujący UW podczas podpisywania umowy, podkreślił, że wynika ona z autentycznych potrzeb obu instytucji. – Jestem przekonany, że Uniwersytet oprócz tego, że jest ośrodkiem naukowym, jest również ważnym czynnikiem kultury polskiej. Wobec tego, porozumienie z centrum w pełni wpisuje się w misję naszej uczelni – mówił prorektor.





Monety odnalezione w Risan, fot. J. Reclaw

Przełomowe odkrycia

Ekstremalny pomiar

Grupa fizyków z UW we współpracy z naukowcami z Oksfordu i Torunia przeprowadziła eksperyment, który pozwoli zwiększyć dokładność pomiarów do granic wyznaczonych fundamentalnymi cechami rzeczywistości. Wyniki eksperymentu zostały opublikowane w czerwcowym wydaniu prestiżowego czasopisma naukowego „Nature Photonics” w artykule „Experimental quantum-enhanced estimation of a lossy phase Shift”, którego współautorami są dr Rafał Demkowicz-Dobrzański, dr Wojciech Wasilewski oraz prof. Konrad Banaszek z Wydziału Fizyki UW.

Aby przeprowadzić pomiar – odległości, temperatury lub innej wielkości fizycznej – w kierunku badanego obiektu trzeba zawsze wysłać sondę, na przykład falę świetlną. W wyniku oddziaływania z obiektem fala zmienia się w pewien sposób. Analizując zmiany fali, naukowcy potrafią wydobyć informacje o cechach badanego obiektu. Problemy sprawia jednak kwantowa natura światła. Kwanty światła, czyli fotony, są emitowane w sposób przypadkowy. Pomiary stają się precyzyjniejsze, jeśli można wykorzystać splątanie kwantowe, które pojawia się, gdy w jednym procesie fizycznym powstają lub oddziałują pary obiektów kwantowych. Taka para ma zdefiniowany swój stan globalny mimo faktu, że stany obu części składo-

wych pozostają nieokreślone. Układ zachowuje się więc jako całość nawet wtedy, gdy tworzące go części są rozdzielone przestrzennie.

Więcej o badaniach uniwersyteckich fizyków przeczytać będzie można w kolejnym numerze naszego pisma.

Skarb odkryty w Risan

Archeolodzy z Ośrodka Badań nad Antykiem Europy Południowo-Wschodniej, prowadzący wykopaliska na terenie antycznego Risan (obecnie Czarnogóra), odkryli zbiór 4600 monet z III w p.n.e. Wszystkie monety zachowały się w jednym naczyniu. Jak ocenia prof. Piotr Dyczek, dyrektor ośrodka, jest to chyba największy skarb z tego okresu odkryty kiedykolwiek przez archeologów.

Uniwersyteckie badania w Risan prowadzone są od 2001 r. Dotychczas pracownicy Ośrodka odkryli na terenie miasta dwa kompleksy budynków – „Willę z Meandrami” oraz „Willę Hypnosa” – z charakterystycznymi ozdobnymi mozaikami oraz fragment rzymskiej ulicy.

Więcej o ostatnim odkryciu w Risan przeczytać będzie można w następnym numerze naszego pisma.

Jerzy Wilkin profesorem honorowym UWM

Pod koniec lutego prof. Jerzy Wilkin otrzymał z rąk prof. Józefa Górniewicza, rektora Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego, dyplom honorowego profesora UWM. Olsztyńska uczelnia uhonorowała prof. Wilkina na mocy uchwały Senatu z 27 marca 2009 r., na wniosek Rady Wydziału Nauk Ekonomicznych UWM. Wśród zasług ekonomisty wymieniono rozwój badań w zakresie ekonomii instytucjonalnej, ekonomii rolnictwa i polityki rolnej oraz wkład w rozwój i promowanie kadr Wydziału Nauk Ekonomicznych UWM. Prof. Wilkin jest częstym gościem olsztyńskiej uczelni, gdzie m.in. prowadzi zajęcia na studiach podyplomowych. Po odebraniu dyplomu prof. Wilkin wygłosił wykład „Problem głodu, ubóstwa i bezpieczeństwa żywnościowego we współczesnym świecie”.

Prof. Wilkin od kilku dekad związany jest z Wydziałem Nauk Ekonomicznych UW, w latach 1996-99 pełnił funkcję dziekana. Obecnie jest kierownikiem Katedry Ekonomii Politycznej UW, kieruje również

Zakładem Integracji Europejskiej w Instytucie Rozwoju Wsi i Rolnictwa PAN.

Granty NBP

Komitet Badań Ekonomicznych Narodowego Banku Polskiego, powołany w 2009 r., rozstrzygnął pod koniec kwietnia I edycję konkursu na granty. Jury oceniało 44 zgłoszone projekty badawcze, granty przyznano 15 najwyższej ocenionym wnioskowi. Preferowane były projekty należące do czterech obszarów: uwarunkowania, strategia i efekty polityki pieniężnej; ewolucja i stabilność systemu finansowego; wzrost gospodarczy i cykl koniunkturalny oraz metody badań ilościowych.

Wśród nagrodzonych znalazł się prof. Ryszard Kutner z UW, autor projektu „Opracowanie metody badania wpływu zdarzeń ekstremalnych i superekstremalnych na stochastyczną dynamikę szeregów czasowych. Zastosowanie do analizy wybranych kursów walutowych w świetle spodziewanego wejścia Polski do strefy euro”. Prof. Kutner

jest pracownikiem Zakładu Dydaktyki Fizyki, zajmuje się m.in. ekono- i socjofizyką, czyli interdyscyplinarnymi badaniami wykorzystującymi metody stosowane w fizyce bądź naukach pokrewnych w takich dziedzinach jak ekonomia i socjologia.

Kryształowa Brukselka dla fizyków

Podczas II Europejskiego Kongresu Gospodarczego w Katowicach wręczono „Kryształowe Brukselki” – nagrody Krajowego Punktu Kontaktowego Programów Badawczych Unii Europejskiej. Wyróżnienie otrzymują instytucje, które aktywnie korzystają z unijnych Programów Ramowych; w tym roku przyznawano je w dwóch kategoriach: dla najlepszej instytucji badawczej oraz najlepszego przedsiębiorstwa. W pierwszej kategorii jednym z laureatów został Wydział Fizyki UW, który nagrodzono za wybitne osiągnięcia uzyskane w Programach Ramowych UE w latach 1999-2009. Patronat honorowy nad nagrodą sprawują: Minister Nauki i Szkolnictwa Wyższego oraz Minister Gospodarki.

NAGRODY I SUKCESY NAUKOWE

Prof. Paweł Kulesza laureatem programu Mistrz

8 czerwca w Instytucie Chemii Fizycznej PAN odbyło się uroczyste wręczenie dyplomów naukowcom nagrodzonym w XII edycji programu Mistrz Fundacji na rzecz Nauki Polskiej. Laureatami programu zostają osoby, które mogą pochwalić się wybitnymi osiągnięciami naukowymi oraz wyróżniają się jako doskonali dydaktycy. Subsidia przyznawane są od 1998 r. XII edycja skierowana była do przedstawicieli nauk technicznych, wzięło w niej udział 48 uczonych. Wśród dziewięciu laureatów znalazł się prof. Paweł Kulesza, dziekan Wydziału Chemii UW. W ciągu najbliższych trzech lat prof. Kulesza otrzyma 450 tys. zł na realizację projektu „Development and characterization of hybrid integrated catalytic materials for oxidation of ethanol” (Projektowanie i charakterystyka fizykochemiczna zintegrowanych hybrydowych materiałów katalitycznych do utleniania etanolu).

Znalezienie się na liście laureatów programu Mistrz prof. Kulesza traktuje jako wyróżnienie nie tylko dla siebie, ale i swoich współpracowników. – Subsidium Mistrz FNP stwarza nam materialne podstawy do aktywnego działania. Jest dla nas zachętą, ale i przede wszystkim zobowiązaniem do dalszej intensywnej pracy – podkreśla naukowiec. Większość otrzymanych środków profesor zamierza przeznaczyć na stypendia dla członków swojego zespołu, doktorantów i magistrantów. Pozostała część subsydium pozwoli na zakup kosztownych odczynników, niezbędnych do prowadzenia badań, w tym nanocząstek metali szlachetnych, takich jak platyna, ruten, rod, iryd i ich stopów oraz biokatalizatorów. – W praktyce może również okazać się konieczne nabycie części zamiennych do diagnostycznej aparatury badawczej, np. analizatorów elektrochemicznych, spektroskopów czy mikroskopów oraz drobnego sprzętu laboratoryjnego – dodaje profesor.

Badania prowadzone przez prof. Kuleszę wpisują się w intensywnie rozwijające się w ostatnich latach poszukiwania nowych koncepcji generowania energii, w tym wykorzystania biopaliw. – Badania dotyczą projektowania, przygotowania i przeprowadzenia charakterystyki fizykochemicznej nowych układów katalitycznych i biokatalitycznych do potencjalnego zastosowania w takich alternatywnych źródłach energii, jakimi są elektrochemiczne ogniwa paliwowe, np. wodorowe czy alkoholowe – tłumaczy prof. Kulesza.

– Nasze badania mają w tej chwili charakter podstawowy, ale spodziewamy się, że zaproponowane, zbadane i opisane przez nas nowe materiały będą efektywniej przyspieszały proces utleniania etanolu i przybliżą możliwość jego wykorzystania w rzeczywistych niskotemperaturowych ogniach paliwowych. Takie układy są obecnie rozważane jako potencjalne źródła energii do zasilania przedmiotów powszechnego użytku, np. komputerów, ale także do zastosowania w pojazdach mechanicznych – wyjaśnia naukowiec.

Prof. Kulesza od 2008 r. pełni funkcję dziekana Wydziału Chemii. Od początku kariery naukowej związany jest z naszą uczelnią. Specjalizuje się w elektrochemii, fizykochemii materiałów oraz chemii analitycznej i nieorganicznej. Jako profesor wizytujący wykładał m.in. na Uniwersytecie Camerino we Włoszech oraz amerykańskich uniwersytetach Północnej Karoliny i w Illinois. Brał udział w pracach badawczych na Uniwersytecie Teksaszkim, Fritz-Haber-Institut der Max-Planck-Gesellschaft w Berlinie oraz szwajcarskim Ecole Polytechnique Fédérale w Lozannie.



Prof. Maciej Żylicz, prezes FNP, wręcza dyplom prof. Kuleszy, fot. FNP

Nagrody FNP

W kwietniu Fundacja na Rzecz Nauki Polskiej rozstrzygnęła dwa konkursy o granty – w ramach programów Focus oraz Start. IV edycja Focusa skierowana była do przedstawicieli nauk humanistycznych i społecznych; jej tematem była „Językowa kategoryzacja świata”. O dofinansowanie ubiegało się 43 badaczy; po dwóch etapach konkursu subsydium przyznano 6 osobom,

w tym trzem pracownikom UW. Laureatami zostali: dr Michał Bilewicz z Wydziału Psychologii z projektem zatytułowanym „W jaki sposób kategorie lingwistyczne wpływają na postrzeganie współczesnych i historycznych stosunków międzygrupowych? Badania społeczno-psychologiczne” oraz dr Justyna Olko-Bajer z IBI „Artes Liberales”, autorka projektu „Językowe spotkania Starego i Nowego Świata: język jako środek

przekazu międzykulturowego we wczesnej Nowej Hiszpanii”. Trzecim nagrodzonym jest dr Paweł Rutkowski z Wydziału Polonistyki; o jego badaniach dotyczących Polskiego Języka Migowego przeczytać można w dziale „Badania”, na str. 18. Każdy z laureatów otrzyma w ciągu najbliższych trzech lat 300 tys. zł. Wsparcie ma pomóc naukowcom w zbudowaniu własnego zespołu badawczego.

W XVIII edycji programu Start stypendium przyznano 159 osobom, w tym 29 badaczom z UW. Osiągnięcia dr. Radosława Adamczaka z WMIM zostały wyróżnione przez recenzentów konkursu w sposób szczególny. Zdobył on stypendium w wysokości 36 tys. zł, które zostało powiększone o środki uzyskane przez fundację z wpłat na działalność organizacji pożytku publicznego. Pozostali nagrodzeni otrzymają dofinansowanie w wysokości 24 tys. zł.



Laureaci programu START, fot. FNP

NAGRODY I SUKCESY NAUKOWE

■ Nagroda dla prof. W. Borodzieja

Prof. Włodzimierz Borodziej został laureatem nagrody im. Carla von Ossietzky'ego, fundowanej od 1981 r. przez miasto Oldenburg. Historyk został nagrodzony za pracę na temat polsko-niemieckiej historii XX wieku.

Prof. Włodzimierz Borodziej jest pracownikiem Instytutu Historycznego UW, od wielu lat współpracuje z niemieckim środowiskiem naukowym. Wykładał na uniwersytetach w Dreźnie, Marburgu oraz Jenie. Jest jednym z dyrektorów kolegium „Käte Hamburger Kolleg” przy Uniwersytecie im. Friedricha Schillera w Jenie. Na swoim koncie ma wiele ważnych publikacji naukowych, dotyczących stosunków Polski z jej zachodnim sąsiadem, m.in. „Terror i polityka. Policja niemiecka a polski ruch oporu w Generalnym Gubernatorstwie 1939-1944”, „Od Poczdamu do Szklarskiej Poręby. Polska w stosunkach międzynarodowych 1945-1947”, „Niemcy w Polsce 1945-1950. Wybór dokumentów, t. I-III”. Wiele z jego prac ukazało się także po niemiecku. Prof. Borodziej był polskim współprzewodniczącym Polsko-Niemieckiej Komisji Podręcznikowej. Jest laureatem niemieckiej nagrody im. Herdera, przyznawanej naukowcom i artystom z Europy Wschodniej i Południowo-Wschodniej, którzy przyczynili się do zachowania europejskiego dziedzictwa kulturowego.

„Nagroda Historii Współczesnej i Polityki im. Carla von Ossietzky'ego” przyznawana jest co dwa lata. Jej laureat otrzymuje



Prof. Włodzimierz Borodziej, fot. Biuro Promocji UW

10 tys. euro. Wyróżnienie nosi imię niemieckiego pisarza i dziennikarza, laureata Pokojowej Nagrody Nobla z 1936 r. Za antynazistowskie i antywojenne poglądy Carl von Ossietzky trafił do więzienia, a następnie obozu koncentracyjnego w Dachau.

Uroczystość wręczenia nagrody odbyła się 4 maja w Oldenburgu, prof. Borodziej odebrał ją z rąk prof. Gerda Schwandnera, nadburmistrza miasta.

■ Najlepsza inicjatywa wydawnicza

Prof. Andrzej Mencwel z Instytutu Kultury Polskiej otrzymał nagrodę przyznaną przez czasopismo „Literatura na Świecie”, w kategorii „inicjatywy wydawnicze”. Redakcja doceniła pracę prof. Mencwela jako redaktora serii wydawniczej „Communicare”, wydawanej przez Wydawnictwo Uniwersytetu Warszawskiego. W serii ukazały się m.in. dzieła Jacques'a Le Goffa, Aleksandra Gieysztor oraz Krzysztofa Pomiana. Seria adresowana jest do osób zainteresowanych antropologią kultury.

■ Nagroda im. ks. Tischnera

Dr Tomasz Rakowski z Instytutu Etnologii i Antropologii Kulturowej został laureatem nagrody im. ks. Józefa Tischnera w kategorii publicystyki i eseistyki, przyznawanej przez wydawnictwo „Znak”. W konkursie nagradzane są prace dotyczące zjawiska społecznego, które uczy Polaków przyjmowania „nieszczonego daru wolności”.

Wyróżniona książka nosi tytuł „Łowcy, zbieracze, praktycy niemocy. Etnografia człowieka zdegradowanego”, na jej kartach przedstawiony został okrutny świat obszarów dotkniętych bezrobociem. Zdaniem jury konkursu dr Rakowski niezwykle sumiennie odkrywczo opisał problematykę bezrobocia, a z jego książki przebiega autentyczna wrażliwość na twarz drugiego

człowieka, która prowadzi do rewizji obiegowych opinii. Okazuje się, że nieprzedstawiony wcześniej świat „praktyków niemocy” tworzy alternatywne uniwersum znaczeń i społecznych relacji i nie jest wcale naznaczony biernością.

■ Nagroda im. ks. Musiała

Prof. Joanna Tokarska-Bakir z Instytutu Stosowanych Nauk Społecznych otrzymała nagrodę im. ks. Stanisława Musiała za twórczość intelektualną promującą dialog chrześcijańsko-żydowski i polsko-żydowski. Jej pomysłodawcą jest krakowski klub Chrześcijań i Żydów „Przymierze”, a fundatorami – Jacek Majchrowski, prezydent Krakowa oraz prof. Karol Musioł, rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Kapituła nagrody doceniła książkę prof. Tokarskiej-Bakir zatytułowaną „Legendy o krwi. Antropologia przesądu”. Według prof. Feliksa Tycha z Żydowskiego Instytutu Historycznego publikacja ta jest imponującym efektem wieloletnich interdyscyplinarnych badań, podczas których autorka wnikliwie prześledziła losy blood libels („legendy o krwi”) w europejskiej pamięci i wskazała ich związki ze współczesnym antysemityzmem.

■ Okulary równości dla JMR

19 czerwca, podczas Kongresu Kobiet prof. Katarzyna Chałasińska-Macukow, rektor UW, otrzymała nagrodę im. Izabeli

Jarugi-Nowackiej – zwaną również „Okularami równości” – za powołanie na Uniwersytecie Warszawskim komisji ds. przeciwdziałania dyskryminacji. Wyróżnienie jest przyznawane osobom, które są wrażliwe na problemy związane z dyskryminacją oraz promują ideę równości.

Komisja ds. przeciwdziałania dyskryminacji została powołana w marcu tego roku. W jej skład wchodzi: prof. Małgorzata Fuszara (WSNSiR), prof. Magdalena Środa (WFiS), prof. Bożenna Chołuj (Wydział Neofilologii), dr Jacek Kochanowski (WSNSiR), dr Hanna Machińska (WPiA). Do zadań komisji należy przestrzeganie na terenie Uniwersytetu Warszawskiego równego traktowania kobiet i mężczyzn oraz przeciwdziałanie wszelkim innym formom dyskryminacji – w szczególności ze względu na płeć, wiek, rasę, wyznanie, religię, niepełnosprawność czy orientację seksualną. Jest to pierwsza tego rodzaju komisja na polskich uczelniach. Więcej na ten temat można znaleźć w poprzednim numerze naszego pisma.

Nagroda „Okulary równości” została zainicjowana w Polsce przez Izabelę Jarugę-Nowacką, w trakcie pełnienia przez nią funkcji pełnomocnika rządu ds. równego statusu kobiet i mężczyzn; od tego roku wyróżnienie nosi imię zmarłej tragicznie postanki.

Dziewczyny przyszłości

Malwina Strenkowska, studentka III roku MISMaP, otrzymała główną nagrodę w konkursie „Dziewczyny Przyszłości. Śladami Marii Skłodowskiej-Curie”, który został zorganizowany przez MNiSW oraz redakcję miesięcznika „Elle”. Głównym celem konkursu było wsparcie studentek kierunków inżynierskich, technicznych, matematycznych i przyrodniczych, które aktywnie angażują się w projekty naukowe. Do konkursu swoje prace zgłosiło 131 młodych badaczek.

Laureatka z UW prowadzi badania w dziedzinie chemii bioorganicznej i biologii molekularnej, które m.in. mają przyczynić się do rozwoju terapii genowej opartej o mRNA, skierowanej przeciwko chorobom nowotworowym. Projekt pt. „Synteza i właściwości analogów końca 5' mRNA posiadających podwójną modyfikację tiofosforanową w łańcuchu 5', 5' - trifosforanowym”, realizowany jest na Wydziale Fizyki, pod opieką dr. Jacka Jemielity z Instytutu Fizyki Doświadczalnej. – Zwycięstwo bardzo mnie ucieszyło, jest to dla mnie ogromne wyróżnienie i zachęta do dalszej pracy – mówi Malwina Strenkowska. Dzięki wygranej, wynoszącej 15 tys. zł, studentka będzie mogła zaprezentować wyniki swoich badań na konferencji naukowej „XIX International Round Table on Nucleosides, Nucleotides and Nucleic acids” w Lyonie.

Jury konkursu przyznało także dwa wyróżnienia – jedno z nich przypadło Joannie Oracz, studentce IV roku Wydziału Fizyki, której projekt badawczy dotyczy budowy układu doświadczalnego pozwalającego na charakterystykę femtosekundowych impulsów laserowych. Opiekunem merytorycznym projektu jest prof. Czesław Radzewicz z Wydziału Fizyki. – Kształtowanie impulsów interesuje mnie szczególnie pod kątem zastosowań w mikroskopii optycznej, gdzie poprzez wykorzystanie odpowiedniego impulsu otrzymuje się znacznie lepszą jakość obrazowania – mówi Joanna Oracz.

Ponadto MNiSW ufundowało dziesięć nagród specjalnych dla studentek, których projekty badawcze zostały najwyżej ocenione przez kapitułę konkursu. Wśród nagrodzonych, oprócz Malwiny Strenkowskiej i Joanny Oracz, znalazły się: Izabela Mikuła (IV rok, Wydział Fizyki) oraz Iwona Skrzypczak (V rok, MISMaP).



Minister Barbara Kudrycka oraz Malwina Strenkowska, laureatka konkursu „Dziewczyny przyszłości”, fot. MNiSW

Studentki będą mogły wziąć udział w europejskiej konferencji, którą sfinansuje ministerstwo. Pozostałe nagrody ufundował magazyn „Elle”, który środki finansowe na ten cel zdobył organizując aukcję sukienek, zaprojektowanych przez znanych polskich projektantów mody.

Uroczyste wręczenie nagród odbyło się 11 czerwca w kinie „Kultura”. – Ten konkurs pozwolił nam odkryć znakomite talenty, które są przyszłością nauki – mówiła w trakcie uroczystości prof. Barbara Kudrycka, minister nauki i szkolnictwa wyższego.

Liderka Comeniusa

Natalia Banasik, studentka Wydziału Psychologii oraz absolwentka Wydziału Lingwistyki Stosowanej otrzymała nagrodę w konkursie „Lider Comeniusa. Lider w edukacji”, którego celem jest promocja i upowszechnianie najlepszych pomysłów edukacyjnych i postaw liderek. Laureatka od września 2009 r. przebywa w Hiszpanii na stypendium Fundacji Rozwoju Systemu Edukacji, w ramach programu „Asystentura Comeniusa”. Pracuje w szkole, gdzie prowadzi zajęcia z języka angielskiego i niemieckiego oraz fakultatywne lekcje języka polskiego. Organizuje integracyjno-artystyczne zajęcia w ramach koła „Multi – Kulti Club”. Do jej sukcesów można zaliczyć realizację programu Content and Language Integrated Learning (Elementy nauczania bilingwalnego), w ramach którego przeprowadziła zajęcia z chemii po angielsku i hiszpańsku, oraz organizację „Tygodnia polskiego” w szkole, w której uczy.

Nagrody dla absolwentów

Pod koniec maja rozstrzygnięto VII edycję konkursu miesięcznika „Samorząd Terytorialny” na najlepsze rozprawy doktorskie oraz prace magisterskie i licencjackie z zakresu samorządu terytorialnego i zagadnień decentralizacji. Cztery z pięciu nagród przyznanych w kategorii prac magisterskich trafiło do rąk ubiegłorocznych absolwentów naszej uczelni.

Dwie równorzędne I nagrody otrzymali: Adam Gendźwił z MISH, za pracę „Bezpartyjni prezydenci miast i ich znaczenie dla lokalnej polityki”, obronioną pod kierunkiem dr hab. Mirosławy Grabowskiej (IS) oraz Joanna Krukowska z WGiSR, autorka pracy „Wielokadencyjni liderzy lokalni w samorządach”, której promotorem był prof. Paweł Swianiewicz (WGiSR). Oboje nagrodzeni są obecnie doktorantami na Uniwersytecie Warszawskim, Adam Gendźwił na socjologii a Joanna Krukowska – geografii.

Dwie równorzędne III nagrody otrzymali absolwenci Centrum Studiów Samorządu Terytorialnego i Rozwoju Lokalnego UW: Renata Bicz („Planowanie i zagospodarowanie przestrzenne a prawo własności”) oraz Robert Sierżputowski („Udział obywateli Unii Europejskiej w wyborach lokalnych”).

Festiwal śpiewającej duszy

Chór Akademicki UW pod kierownictwem Iriny Bogdanovich zdobył I miejsce w kategorii chórów amatorskich świeckich podczas XXIX Międzynarodowego Festiwalu Muzyki Cerkiewnej – „Hajnowka 2010”. W konkursie nagrodzony został także Krzysztof Chalimoniuk, instruktor ChAUW.

Festiwal w Hajnowce jest organizowany od 1982 r. Przegląd muzyki cerkiewnej cieszy się ogromną popularnością, co roku gości na nim ponad tysiąc śpiewaków z około trzydziestu chórów zarówno z Polski, jak i z zagranicy.

Posiedzenie Komisji Fizyki Jądrowej EPS

W dniach 9 i 10 kwietnia odbyło się po raz pierwszy w Polsce posiedzenie Komisji Fizyki Jądrowej Europejskiego Towarzystwa Fizycznego (EPS), któremu przewodniczył prof. Zsolt Fülöp z Instytutu Badań Jądrowych Węgierskiej Akademii Nauk. W posiedzeniu, zorganizowanym przez Instytut Fizyki Doświadczalnej UW, uczestniczyło 18 delegatów, każdy z innego kraju europejskiego. Zebrani mieli okazję zapoznać się ze stanem badań oraz infrastrukturą eksperymentalną Środowiskowego Laboratorium Ciężkich Jonów UW, jak również z badaniami realizowanymi na Wydziale Fizyki. W trakcie spotkania podjęto decyzje dotyczące wyróżnień przyznawanych przez EPS, jak również postanowiono o miejscu i terminie następnej Europejskiej Konferencji Fizyki Jądrowej. Odbędzie się ona w Bukareszcie we wrześniu 2012 r.

Żałożenia rezydencjonalne i obronne

Pod koniec kwietnia w Instytucie Archeologii odbyła się V edycja konferencji „Interdyscyplinarne badania założeń rezydencjonalnych i obronnych”, zorganizowana przez Ośrodek Badań nad Antykiem Europy Południowo-Wschodniej UW, Instytut Archeologii UW, Centrum Europejskie Natolin, Międzywydziałowe Towarzystwo Naukowe Badań i Dokumentacji Europejskiego Dziedzictwa Kulturowego „HUMANICA” oraz Stowarzyszenie „ARCHEO”. Prof. Andrzej Buko, dyrektor Instytutu Archeologii i Etnologii PAN, oficjalnie otworzył obrady, podkreślając ich interdyscyplinarny charakter i różnorodny program. Dr Radosław Karasiewicz-Szczypiorski, wicedyrektor Instytutu Archeologii UW, przypomniał, że tegoroczna edycja konferencji zamyka uroczyste obchody 90-lecia inauguracji archeologii jako dyscypliny akademickiej na Uniwersytecie Warszawskim. Pierwsza część konferencji, której przewodniczył prof. Buko, poświęcona była badaniom nad starożytnymi i średniowiecznymi założeniami obronnymi.



Krzyżtopór, fot. K. Trela



Posiedzenie Komisji Fizyki Jądrowej Europejskiego Towarzystwa Fizycznego, fot. I. Skwira-Chalot

Natomiast w drugiej części obrad, którym przewodniczył prof. Juliusz A. Chrościcki z Instytutu Historii Sztuki UW, omówiono problematykę formy, funkcji oraz wymowy ideowej założeń rezydencjonalnych, poczynsz od obiektów starożytnych po realizacje XX-wieczne.

Nie migają się

Warsztaty Polskiego Języka Migowego, wykłady przybliżające kulturę Głuchych, a także pokazy filmowe – to wszystko czekało na uczestników Dni Języka Migowego, zorganizowanych na Uniwersytecie Warszawskim w połowie maja. Pomysłodawcami trzydniowej imprezy pod hasłem „Nie migają się” byli słyszący i niesłyszący studenci i doktoranci różnych kierunków studiów, m.in.: pedagogiki, matematyki, dziennikarstwa i polonistyki, których wspólną pasją jest język migowy. Dni miały przyczynić się do promocji Polskiego Języka Migowego oraz zwiększania świadomości problemów, z jakimi borykają się Głusi w naszym kraju. Wykłady wygłosili m.in. współpracownicy Pracowni Lingwistyki Migowej powołanej niedawno na Wydziale Polonistyki UW. Więcej o Polskim Języku Migowym oraz działalności pracowni przeczytać można w dziale „Badania”, na str.18.

Uniwersytet nocnych marków

W nocy z 15 na 16 maja wszyscy warszawianie łaknący kulturalnych wrażeń mieli szansę odwiedzić wiele interesujących miejsc. Galerie, muzea, centra sztuki, ale też Giełda Papierów Wartościowych otwarte były dla wszystkich chętnych do późnych godzin nocnych. Noc Muzeów zorganizowana została w Warszawie po raz siódmy i jak co roku cieszyła się ogromnym zainteresowaniem mieszkańców stolicy.

W akcję włączył się także Uniwersytet Warszawski. Warszawianie mogli odwiedzić Bibliotekę Uniwersytecką, gdzie odbywał się m.in. wernisaż wystawy „Malowanie dziecięciorga przykazań” według Stefana Gierowskiego, projekcja filmów z serii „Dekalog 89+” oraz polsko-norweski performance

„Piękne kłamstwa III”, zorganizowany w ramach „Międzynarodowych Spotkań Performerów w ogrodach Biblioteki Uniwersyteckiej”.

W siedzibie Akademickiego Radia Kampus wszyscy chętni mogli zobaczyć, jak na co dzień wygląda praca rozgłośni, a nawet uczestniczyć w realizacji audycji.

Imprezy odbywały się też w Pałacu Tyszkiewiczów-Potockich. Studium Europy Wschodniej zorganizowało dwa pokazy multimedialne: „Domeny symboliczne carskiej Warszawy – architektura cerkiewna” oraz „Między Wilnem a Krakowem. Wędrówki królewskim gościńcem”, a także prezentację studenckich zdjęć „Wschodnioeuropejskie krajobrazy”. Czynne było też znajdujące się w pałacu Muzeum UW, które odwiedziło tej nocy około 800 osób.

Jubileusz prof. Szymona Rudnickiego

17 maja odbył się jubileusz 70-lecia prof. Szymona Rudnickiego. Przybyło wielu wspaniałych gości – Wydział Historyczny niemal w komplecie. Wszyscy mówcy, w tym prorektor uczelni prof. Włodzimierz Lengauer, a także profesorowie: Maria Koczerska, Karol Modzelewski, Przemysław Hauser, Jerzy Tomaszewski oraz doktorzy: Joanna Zyndul i Robert Gawkowski, podkreślali w swych wystąpieniach znakomity dorobek jubilata, a także jego skromność i ujmujący sposób bycia.

Prof. Szymon Rudnicki pracę w Instytucie Historycznym rozpoczął w 1961 r. W 1985 r. zyskał rozgłos książką: „Obóz Narodowo-Radykalny. Geneza i działalność”. Późniejsze publikacje jubilata dotyczyły ziemianstwa polskiego, posłów żydowskich, antysemityzmu i wielu innych zagadnień dotyczących II RP. W 2008 r. Żydowski Instytut Naukowy przyznał mu prestiżową nagrodę im. J. Karskiego i Poli Nireńskiej.

Na zakończenie jubileuszu prof. Rudnicki otrzymał książkę jubileuszową pt: „Parlamentaryzm, konserwatyzm, nacjonalizm”. Na książkę składają się artykuły 27 autorów – przyjaciół i uczniów jubilata.

„Likwidacja 08.1944” w 3D

24 maja w kinie „Kultura” odbyło się spotkanie poświęcone „Polifonicznej powieści reportażowej w praktyce Laboratorium Reportażu”, podczas którego wyświetlono pierwszy w Polsce film dokumentalny zrealizowany w technice 3D. Film „Likwidacja 08.1944” powstał według scenariusza i w reżyserii Marka Millera i Michała Bukojemskiego, przy współudziale studentów Instytutu Dziennikarstwa, którzy pracowali nad tym projektem w ramach zajęć prowadzonych w Laboratorium Reportażu Uniwersytetu Warszawskiego.

Dokument przedstawia historię ostatniego etapu istnienia oraz likwidację Ghetta Litzmannstadt w Łodzi, które przetrwało najdłużej ze wszystkich gett w Europie, bo do 2 sierpnia 1944 r. W tym czasie na jego murach ukazało się obwieszczenie Chaima Mordechaja Rumkowskiego, przewodniczącego żydowskiej rady Judenrat, w którym poinformował, że „z polecenia nadburmistrza miasta getto musi zostać przeniesione. Dla porządku ewakuacja

odbywać się będzie według resortów, co ułatwi organizację przyszłego miejsca pracy”. Codziennie wyjeżdżał transport z 5 tys. ludzi. W dniu rozpoczęcia wywózki 80 wagonów kolejowych czekało na bocznicę Radegast na mieszkańców getta, ale żaden z nich się tam nie pojawił.

W filmie „Likwidacja 08.1944” zachowano wiele wspomnień oraz relacji pamiętnikarsko-dziennikarskich, którym nadano fabularną formę narracji. Zaś sceny z udziałem aktorów zostały połączone z archiwalnymi zdjęciami, pochodzącymi zarówno z prywatnych, jak i państwowych archiwów polskich, izraelskich, niemieckich, szwedzkich oraz amerykańskich. Twórcy filmu odtworzyli w systemie dźwiękowym *Dolby Digital* dialogi, gwary, efekty synchroniczne oraz tzw. efekty boczne, co pozwala widzom poczuć atmosferę panującą 66 lat temu na ulicach łódzkiego getta.

Film „Likwidacja 08.1944” powstał m.in. dzięki wsparciu władz Łodzi, fundacji „Ad Astra” oraz Instytutu Pamięci Narodowej.

Ku pamięci Szkoły Rycerskiej

19 maja w Galerii Muzeum UW, która mieści się na parterze Pałacu Kazimierzowskiego, odbyło się uroczyste odsłonięcie tablicy poświęconej pamięci króla Stanisława Augusta – twórcy i mecenasa Szkoły Rycerskiej, Kazimierza Czarotoryskiego – komendanta szkoły oraz wychowanków Korpusu Kadetów. Wśród wybitnych absolwentów Szkoły Rycerskiej znaleźli się późniejsi generałowie: Tadeusz Kościuszko, Józef Orłowski czy Józef Sowiński, którzy z odwagą walczyli w obronie granic Rzeczypospolitej.

– To jest bardzo podniosłe wydarzenie, świadczące o tym, jak Uniwersytet Warszawski docenia tradycję tego budynku i swoje korzenie – powiedział podczas uroczystości Stanisław Czarotoryski, kontynuator szlacheckich tradycji rodu, który wraz z prof. Katarzyną Chałasińską-Macukow, rektor UW, odsłonił tablicę.

Szkoła Rycerska, której siedzibą był Pałac Kazimierzowski, istniała w latach 1765-1794. Jej zadaniem było przygotowywanie młodzieży szlacheckiej zarówno do służby wojskowej, jak i publicznej. Program nauczania obejmował 4 lata kształcenia ogólnego wraz z nauczaniem języków obcych oraz 2 lata kształcenia zawodowego, w ramach którego zgłębiano tajniki inżynierii wojskowej, szermierki czy jazdy konnej.

Uniwersyteckie godności

Czerwiec obfitował w ważne uniwersyteckie wydarzenia. 14 czerwca odbyła się uroczystość odnowienia doktoratu prof. Jerzego Szackiego, jednego z najwybitniejszych przedstawicieli polskiej socjologii. W drugiej połowie miesiąca – 18 i 30 godność doktora honorowego została nadana trzem historykom: prof. Antony’emu



Uroczystość odnowienia doktoratu prof. Szackiego, fot. M. Kluczek

Polonsky’emu, uważanemu za jednego z największych znawców losów polskich Żydów, dr Marii Rostworowskiej de Diez Canesco, zajmującej się starożytną cywilizacją Inków, oraz prof. Richardowi Pipesowi, wybitnemu sowietologowi. Uroczystość nadania tytułu doktora *honoris causa* dr Marii Rostworowskiej de Diez Canesco odbyła się na Pontificia Universidad Católica del Perú w Limie. Więcej na temat wymienionych wyżej uroczystości przeczytać będzie można w następnym numerze naszego pisma.

Mazowiecki Program Transferu Wiedzy

Uniwersytet Warszawski zaprasza studentów, absolwentów, doktorantów oraz pracowników naukowych do udziału w projekcie „MPTW – Mazowiecki Program Transferu Wiedzy”, współfinansowanego ze środków Unii Europejskiej w ramach Europejskiego Funduszu Społecznego. Jego

celem jest zachęcenie środowiska akademickiego do wykorzystania zdobytej wiedzy i dorobku naukowego w przedsiębiorczości oraz przygotowanie uczestników do założenia własnej działalności gospodarczej.

Uczestnicy programu będą od października 2010 r. uczęszczać na bezpłatne szkolenia z zakresu projektowania innowacyjnych rozwiązań w biznesie, zakładania oraz finansowania działalności związanej z prowadzeniem firmy, analizy konkurencyjności na rynku, prawa ochrony własności intelektualnej oraz doprecyzowania i oceny opłacalności biznesplanów. Odbywać się też będą indywidualne spotkania z ekspertami z zakresu doradztwa strategicznego, doradztwa Rzecznika Patentowego oraz wsparcia w zakresie ochrony własności intelektualnej. Rejestracja uczestników trwa do 15 lipca 2010 r.

Szczegóły dotyczące MPTW znajdują się na stronie: www.mptw.pl.

Śmiały myśliciel

Na przełomie września i października w BUW zaprezentowana zostanie wystawa, której celem będzie przybliżenie postaci Juliana Leopolda Ochorowicza (1850-1917) – człowieka renesansu w czasach pozytywizmu, absolwenta UW. Jego nazwisko, dziś nieco zapomniane, pod koniec XIX i na początku XX stulecia znane było w kręgach warszawskich pozytywistów, lekarzy oraz zafascynowanych zjawiskami mediumizmu i hipnotyzmu. Dążeniem Ochorowicza było empiryczne zbadanie zjawisk popularnie uznawanych za nadprzyrodzone (np. czytania myśli). Hipnozę traktował jako dział psychologii i wykorzystywał w praktyce lekarskiej. Skonstruował hipskopskop, aparat diagnostyczny do wykrywania wrażliwości hipnotycznej u człowieka. Fascynowała go również fizyka doświadczalna, prowadził eksperymenty w dziedzinie elektryczności i elektromagnetyzmu. Jego największe osiągnięcia dotyczą przesyłania dźwięków na odległość. Wynalazki, takie jak mikrofon z opilkami żelaznymi, telefon magnetyczny czy termomikrofon, wzbudziły zainteresowanie władz

świata technicznego. Aparaty systemu Ochorowicza były nagradzane w Rosji, Belgii, Warszawie, a produkowane i użytkowane we Francji do 1905 r. Ochorowicz uznawany jest również za pioniera telewizji. Na łamach lwowskiego „Kosmosu” w 1878 r. opisał problemy, których rozwiązanie umożliwiłoby przesyłanie obrazów na odległość. Podczas wystawy w BUW zaprezentowane zostaną m.in. publikacje Ochorowicza, jego matki i dziadka, znajdujące się w zbiorach biblioteki oraz dokumenty i fotografie z prywatnych zbiorów Igora Strojckiego, krewnego Juliana.

Julian Leopold Ochorowicz,
fot. zbiory BUW

Opracowanie: Redakcja. Współpraca: prof. Konrad Banaszek (IFT), dr Agata Chęcińska (IFT), dr Robert Gawkowski (Muzeum UW), prof. Tomasz Matulewicz (IFD), Liljana Nalewajska (BUW), Magdalena Sternik (Biuro Karier), Piotr Sypczuk (IHS).

NOMINACJE PROFESORSKIE

Senat UW na posiedzeniu 19 maja 2010 r. pozytywnie zaopiniował wnioski w sprawie mianowania na stanowisko

PROFESORA ZWYCZAJNEGO NA UW NA CZAS NIEOKREŚLONY

prof. dr. hab. Mariana Górskiego Wydział Zarządzania

PROFESORA NADZWYCZAJNEGO NA UW NA CZAS NIEOKREŚLONY

prof. dr. hab. Tomasza Bulika Wydział Fizyki

dr hab. Joanny Jurewicz Wydział Orientalistyczny

prof. dr. hab. Marka Pfütznera Wydział Fizyki

prof. dr. hab. Aleksandra Filipa Żarneckiego Wydział Fizyki

PROFESORA NADZWYCZAJNEGO NA UW NA PIĘĆ LAT

dr hab. Nadziei Dreli Wydział Biologii

dr hab. Mirosławy Grabowskiej Wydział Filozofii i Socjologii

dr hab. Krzysztofa Hejwowskiego Wydział Lingwistyki Stosowanej

dr hab. Joanny Odrowąż-Sypniewskiej Wydział Filozofii i Socjologii

dr hab. Mieszka Tałasiewicza Wydział Filozofii i Socjologii

Senat UW na posiedzeniu 16 czerwca 2010 r. pozytywnie zaopiniował wnioski w sprawie mianowania na stanowisko

PROFESORA NADZWYCZAJNEGO NA UW NA CZAS NIEOKREŚLONY

dr hab. Barbary Kaim Wydział Historyczny

dr hab. Mariusza Korasa Wydział Matematyki, Informatyki i Mechaniki

dr hab. Adriana Langer Wydział Matematyki, Informatyki i Mechaniki

dr hab. Hanny Serkowskiej Wydział Neofilologii

PROFESORA NADZWYCZAJNEGO NA UW NA PIĘĆ LAT

dr hab. Stanisława Bielenia Wydział Dziennikarstwa i Nauk Politycznych

dr hab. Krzysztofa Byczuka Wydział Fizyki

dr hab. Krzysztofa Klincewicz Wydział Zarządzania

dr hab. Katarzyny Paprzyckiej Wydział Filozofii i Socjologii

TŁUMACZ ŚWIATA BAŁKAŃSKIEGO

Serbski humanista uhonorowany tytułem doktora *honoris causa* UW

Izabela Kraszewska

7 maja odbyła się uroczystość nadania profesorowi Ivanowi Čolovićowi doktora *honoris causa* Uniwersytetu Warszawskiego. Ta najwyższa godność akademicka została przyznana serbskiemu humaniście na wniosek Wydziału Polonistyki przez Senat UW uchwałą z dnia 16 grudnia 2009 roku. Promotorem doktoratu był prof. Andrzej Mencwel z Instytutu Kultury Polskiej, a recenzentami profesorowie: Wojciech Józef Burszta z PAN, Aleksander Naumow z UJ oraz profesor Joanna Kurczewska z PAN.

Profesor Ivan Čolović należy do grona najwybitniejszych współczesnych antropologów i etnologów europejskich. W swych pracach badawczych koncentruje się na zagadnieniach dotyczących tożsamości etnicznej i kulturowej w krajach Europy Środkowej i Południowej. Interesuje się wpływem czynników politycznych, religijnych i społecznych na stan świadomości ludzi zamieszkujących Bałkany. Uczony jest autorem kilkunastu książek, ponad 200 artykułów oraz wielu ważnych publikacji zbiorowych. Założył też serię wydawniczą *Biblioteka XX wieku*, w ramach której ukazało się około 160 tłumaczeń najistotniejszych prac humanistycznych z dziedziny politologii, antropologii, etnologii oraz socjologii. Jego prace przełożone zostały na wiele języków, m.in.: angielski, niemiecki, francuski, polski, włoski i grecki.

Na szczególną uwagę zasługuje również społeczna działalność humanisty, który nawet w okresie rządów Slobodana Miloševicia angażował się w propagowanie w krajach byłej Jugosławii idei społeczeństwa obywatelskiego i demokratycznego modelu państwa. Włączył się też w tworzenie serbskich oddziałów międzynarodowych organizacji, zajmujących się upowszechnianiem idei demokratycznych (Komitet Helsiński, Centrum na rzecz Demokracji, Centrum na rzecz Praw Człowieka). Profesor Čolović należał również do najaktywniejszych uczestników ruchu antywojennego, któremu w sposób szczególny zależało na pojednaniu skłóconych stron konfliktu jugosłowiańskiego. Za swoją działalność, zarówno naukową, jak i społeczną uhonorowany został prestiżową nagrodą

im. Herdera. – Profesor Čolović w swojej liczącej kilkadziesiąt lat pracy i działalności naukowej, nauczycielskiej i politycznej współtworzył inny wzór patriotyzmu. I to nie tylko serbskiego, także chorwackiego, polskiego czy węgierskiego. Patriotyzmu, który opiera się na wybranych więziach politycznych, a nie na przymusowym krewniactwie – powiedział podczas laudacji prof. Andrzej Mencwel.

Prof. Joanna Kurczewska uważa, że to co wyróżnia profesora Čolovicia to nie tylko demaskatorski ton i żarliwość diagnoz – co zazwyczaj towarzyszy krytykom Miloševićowskiej wykładni Serbii i w ogóle Bałkanów – lecz rzetelność i wnikliwość analiz „języka narodowego”, jego politycznej i wojskowo-obronnej frazeologii. Według prof. Wojciecha Józefa Burszty serbski antropolog jest „tłumaczem” świata bałkańskiego dla tych wszystkich, którzy pragną wyjść poza stereotyp tej części świata i spojrzeć na nią okiem nieuprzedzonym. Zdaniem recenzenta profesor Ivan Čolović ze wszech miar zasługuje na tytuł doktora *honoris causa* Uniwersytetu Warszawskiego. Status i ranga dorobku profesora nie podlegają wątpliwości, stanowiąc stały wkład w dorobek antropologii politycznej i studiów etnicznych w wymiarze europejskim i ogólnosiwiatowym – twierdzi prof. Burszta.

Podczas uroczystości wręczenia honorowego doktoratu prof. Stanisław Dubisz, dziekan Wydziału Polonistyki docenił dokonania intelektualne profesora Čolovicia. – Widzimy w nim przede wszystkim humanistę, który łączy pasję poznawczą z działalnością kulturotwórczą i społeczno-edukacyjną. Widzimy w nim człowieka opowiadającego się za wzorcami społeczeństwa demokratycznego i obywatelskiego. Widzimy w nim badacza problematyki narodowej i narodowościowej, podejmującego analizy z zakresu antropologii, folklorystyki i filologii – mówił dziekan. Zaś prof. Čolović podkreślił, że zaszczyt przyznania mu tej godności jest w decydującym stopniu zasługą polskich naukowców, którzy od wielu lat interesują się jego pracą, a którzy swoimi przekładami, komentarzami i interpretacjami przyczynili się do wzbogacenia jego dorobku naukowego.

Uroczystość nadania prof. Čolovićowi tytułu doktora *honoris causa* UW, fot. M. Kluczek





Uroczystość nadania doktoratu honorowego prof. Ceruttiemu-Guldbergowi, fot. M. Kluczek

W POSZUKIWANIU SENSU

Doktorat *honoris causa* UW dla latynoamerykańskiego filozofa

Izabela Kraszewska

20 maja odbyła się uroczystość nadania profesorowi Horacio Ceruttiemu-Guldbergowi tytułu doktora *honoris causa* Uniwersytetu Warszawskiego. Honorowy doktorat został przyznany latynoamerykańskiemu filozofowi na wniosek Instytutu Ameryk i Europy przez Senat UW uchwałą z dnia 21 kwietnia 2010 roku. Promotorem doktoratu był prof. Ryszard Paradowski z Instytutu Ameryk i Europy, a recenzentami profesorowie: Lubomir Zyblikiewicz z UJ, Eugeniusz Górski z PAN oraz Aleksander Posern-Zieliński z UAM.

Profesor Cerutti-Guldberg ukończył studia filozoficzne w Argentynie, a następnie – zmuszony sytuacją polityczną – emigrował do Ekwadoru, gdzie uzyskał stopień doktora filozofii w Universidad de Cuenca. Od 1980 roku jest profesorem na głównej i największej w Meksyku i całej Ameryce Łacińskiej uczelni – Universidad Nacional Autónoma de México. Jest także konsultantem oraz redaktorem naukowym w największych wydawnictwach iberoamerykańskich w Buenos Aires, Madrycie czy Meksyku. W 1986 roku był stypendystą Fundacji Aleksandra Humboldta.

Profesor Cerutti-Guldberg zajmuje się historią idei oraz filozofią społeczno-polityczną. W centrum jego zainteresowań znajdują się m.in. główne tendencje filozoficzne w myśli latynoamerykańskiej, związki idei filozoficznych z polityką i praktyką społeczną, nurty utopijne w piśmiennictwie społeczno-politycznym i filozoficznym; w ostatnich latach zaś przede wszystkim koncentruje się

na kwestiach związanych z procesami demokratyzacyjnymi i integracyjnymi w Ameryce Łacińskiej. Dorobek naukowy profesora jest pokaźny oraz niezwykle zróżnicowany tematycznie. Liczy on kilkanaście książek, tyleż samo prac zbiorowych oraz około 200 artykułów i esejów – łącznie ok. 500 publikacji.

Profesor Aleksander Posern-Zieliński wyrażając swoją opinię na temat latynoamerykańskiego badacza podkreślił, iż *mamy do czynienia z naukowcem najwyższej próby, legitymującym się znaczącym dorobkiem, uznanym za istotny na arenie międzynarodowej. Z profesorem, który dzięki swej wyjątkowo aktywnej działalności organizacyjnej położył ogromne zasługi dla rozwoju specjalistycznych studiów nad Ameryką Łacińską oraz wydatnie wspierał i promował poczynania polskich latynoamerykanistów.*

W laudacji promotorskiej profesor Ryszard Paradowski zaakcentował, że zalecaną przez Platona pięćdziesięcioletnią *preparacion a la sapienza* odbył Horacio Cerutti-Guldberg w czasie znacznie krótszym. – Tym nie mniej nie sądzimy, by chciał być uważany za mędrca, zadowalając się skromnym, a zarazem najwyższym z możliwych tytułem filozofa – stwierdził promotor.

Jak przekonywał podczas uroczystości nadania honorowego doktoratu profesor Cerutti-Guldberg *filozofowanie to analiza skomplikowanej rzeczywistości w poszukiwaniu luk, w poszukiwaniu sensu.* – Powinniśmy odchodzić od wizji, w których filozofia tłumaczy zastaną rzeczywistość. Wszystko rozgrywa się w teraźniejszości, która jest wyrazem skomplikowanych zbieżności tu i teraz – podkreślał.

Profesor Cerutti-Guldberg odegrał również ważną rolę w życiu warszawskiego środowiska naukowego: wielokrotnie uczestniczył w polskich badaniach poświęconych myśli społeczno-politycznej i filozoficznej Ameryki Łacińskiej oraz tożsamości latynoamerykańskiej. Brał udział w pracach redakcyjnych pisma Centrum Studiów Latynoamerykańskich UW „Revista del CESLA”. Nie do przecenienia jest także jego działalność na rzecz promocji Uniwersytetu Warszawskiego na świecie. Profesor Eugeniusz Górski stwierdził, że *wyróżnienie doktoratem honoris causa tak prominentnego przedstawiciela Universidad Nacional Autónoma de México przyczyni się do dalszej owocnej współpracy UW i nauki polskiej ze światem iberoamerykańskim.*

Uroczystość nadania tytułu doktora *honoris causa* UW profesorowi Horacio Ceruttiemu-Guldbergowi odbyła się w ramach obchodów 200-rocznicy niepodległości Ameryki Łacińskiej.

Ponadto 21 maja w Węgrowie odsłonięto tablicę pamiątkową poświęconą pochodzącemu stamtąd Angelowi Rosenblatowi – wybitnemu badaczowi Ameryki, prekursorowi teorii metysażu kulturowego w Ameryce.

NA PERYFERIACH UKŁADU SŁONECZNEGO



Nowa kamera projektu OGLE, fot. OA UW

Andrzej Udalski

Od długiego czasu astronomowie przypuszczali, że peryferie Układu Słonecznego mogą kryć wiele tajemnic. Podejrzewano, że w obszarze położonym w odległości kilkadziesiąt razy dalej niż Ziemia od Słońca znajduje się pas drobnych obiektów, tzw. pas Kuipera. Jednak na pierwsze odkrycie trzeba było czekać aż do początku lat 90. ubiegłego wieku. Na początku XXI w. liczba odkrywanych obiektów zaczęła szybko wzrastać; większość z nich to drobne ciała porównywalne z klasycznymi asteroidami. Okazało się, że oprócz obiektów krążących po typowo planetarnych orbitach zbliżonych do okręgu (obiekty transneptunowe), szereg nowych ciał krąży po mocno wydłużonych orbitach eliptycznych (obiekty dysku rozproszonego).

Ku zaskoczeniu astronomów oprócz ciał niewielkich, odkryto również kilka obiektów o zdumiewająco dużych rozmiarach. Szybko okazało się, że niektóre z nich dorównują planecie Pluton, krążącej w podobnej odległości. Rozmiary obiektu nazwanego Eris wręcz przewyższają rozmiary Plutona. Doprowadziło to do głośnych w świecie naukowym i nie tylko dyskusji dotyczących definicji planety i w konsekwencji do zdegradowania Plutona do kategorii planet „karłowatych”, którą tworzy wraz z kilkoma nowo odkrytymi obiektami. Pozostałe osiem planet, od Merkurego do Neptuna, tworzą kategorię planet klasycznych.

Astronomowie szybko uświadomili sobie konieczność badań obiektów znajdujących się na peryferiach Układu Słonecznego. Najprawdopodobniej są to zakonserwowane resztki materii z czasów powstawania Układu i ich zbadanie powinno dostarczyć cennych informacji o narodzinach i ewolucji naszego systemu planetarnego.

Odkrywanie tak odległych obiektów jest niezmiernie trudne. Świecą one bowiem bardzo słabo, odbijając światło dalekiego Słońca, występują rzadko i poruszają się wolno po swych orbitach. Podjęcie więc kompleksowego przeglądu nieba w celu poszukiwania tych ciał jest dużym wyzwaniem, wymagającym użycia wyspecjalizowanego sprzętu obserwacyjnego. Zadania tego podjęła się grupa polskich astronomów pracująca w zespole projektu OGLE, prowadzonego od kilkunastu lat w Obserwatorium Astronomicznym UW.



Obserwatorium Las Campanas w Chile, fot. OA UW

Program poszukiwania obiektów z pasa Kuipera powstał przy współpracy z astronomami amerykańskimi z Department of Terrestrial Magnetism w Carnegie Institution of Washington pod kierunkiem prof. Scotta Shepparda.

Projekt ten idealnie wpisuje się w nowe możliwości obserwacyjne projektu OGLE; w marcu rozpoczęła się jego czwarta faza (OGLE-IV) związana z uruchomieniem nowej aparatury. Skonstruowana w Obserwatorium Astronomicznym UW jedna z najnowocześniejszych na świecie kamer obrazujących niebo, zainstalowana przy teleskopie warszawskim w Obserwatorium Las Campanas w Chile, pozwala uzyskać fotografie dużych obszarów nieba, co znacząco zwiększa szanse detekcji rzadko występujących obiektów transneptunowych. Co ważniejsze, wielkie obszary nieba południowego nie były jak dotąd przeszukiwane pod kątem wykrywania obiektów plutonopodobnych i mogą one kryć wiele niespodzianek.

Projekt OGLE-IV rozpoczął regularne poszukiwania obiektów pasa Kuipera w początkach marca. Już po miesiącu odkryto trzy nowe obiekty. Po uzyskaniu dodatkowych obserwacji w celach weryfikacji i obliczeniu orbit wokółsłonecznych wszystkie trzy ciała zostały zarejestrowane w Centrum Małych Planet Międzynarodowej Unii Astronomicznej jako nowe odkrycia. Zgodnie z obowiązującymi konwencjami nadano im prowizoryczne nazwy: 2010 EK139, 2010 EL139 i 2010 FX86. Miesiąc później znaleziono kolejny obiekt – 2010 HE79.

Już pierwsze obserwacje wykazały, że wszystkie nowo odkryte ciała są bardzo interesujące i należą do wyjątkowo dużych obiektów. 2010 EL139, 2010 FX86 i 2010 HE79 są typowymi obiektami transneptunowymi, a 2010 EK139, który ma bardzo wyciągniętą orbitę, jest typowym przedstawicielem obiektów dysku rozproszonego. Obliczenia pokazują, że nawet najmniejsze z odkrytych ciał, 2010 EL139 i 2010 HE79, mają średnicę rzędu kilkuset kilometrów, natomiast 2010 FX86 nawet prawie 800 km.

Niewątpliwie najciekawszym odkrytym ciałem jest 2010 EK139. To największy obiekt odkryty w ostatnich kilku latach, znajdujący się w końcu pierwszej dwudziestki największych ciał w Układzie Słonecznym (nie wliczając klasycznych planet). Jego średnica może sięgać nawet ponad tysiąc kilometrów. To prawie połowa średnicy Plutona, więcej niż średnica największej planety „karłowatej” z klasycznego pasa asteroid – Ceres. 2010 EK139 jest zatem świetnym kandydatem na kolejną planetę „karłowatą”. Dalsze obserwacje prowadzone przy użyciu wielkich teleskopów pozwolą dokładniej scharakteryzować ten obiekt.

Przeszukiwanie pasa Kuipera będzie kontynuowane w Obserwatorium Las Campanas w Chile do października – do pełnego pokrycia niezbadanych dotąd obszarów nieba. Zachęcające wyniki wstępne pozwalają mieć nadzieję na dalsze ekscytujące odkrycia.

Prof. dr hab. Andrzej Udalski kieruje projektem OGLE, realizowanym przez astronomów z Obserwatorium Astronomicznego UW. Więcej o projekcie znaleźć można na stronie: <http://ogle.astrouw.edu.pl>.

MATEMATYKA PO CHIŃSKU,

czyli jak wygląda sytuacja Głuchych w Polsce

Katarzyna Łukaszewska

– Wyobraźmy sobie, że do polskiej szkoły przyjeżdża Anglik i mówi: Sądźmy, że najlepiej będzie, jeśli zaczniemy mówić po angielsku, bo to jest praktyczniejsze. Wiemy, że chcecie mówić po polsku i że jest to wasz język rodzimy, ale wasza edukacja będzie prowadzona po angielsku dla waszego dobra – tak zdaniem dr. Pawła Rutkowskiego z Wydziału Polonistyki UW przedstawia się sytuacja Głuchych w Polsce. Opis ten może budzić zdziwienie, ale tylko do momentu, gdy poznamy problemy, z jakimi borykają się osoby niesłyszące w naszym kraju. Świadomość tej tematyki jest wśród Polaków znikoma. „Niewiedza i niezrozumienie” – tak określa nasz stosunek do Głuchych dr Rutkowski. Podkreśla jednocześnie, że nie jest to przejaw naszej złej woli, ale utrwalonego, błędnego myślenia o Głuchych jako osobach, którym należy się współczucie i pomoc. W rzeczywistości Głusi powinni być traktowani jako mniejszość językowo-kulturowa (stąd nazwę „Głuchy” należy pisać wielką literą), której przysługuje przede wszystkim prawo do posługiwania się własnym językiem i rozwoju własnej kultury.

Mity

W Polsce istnieją dwa zupełnie różne systemy komunikacyjne używane przez Głuchych. Pierwszym jest Polski Język Migowy (PJM), który powstał z naturalnych potrzeb komunikacyjnych Głuchych, takich samych jak te, które doprowadziły do powstania polszczyzny słyszących Polaków. – Jako język naturalny PJM ewoluował przez wieki i nadal stale się rozwija. Jest jak żywy organizm. PJM starszych jest różny od PJM młodych. Istnieją odmiany stylowe, regionalne, jest slang – opowiada dr Rutkowski.

Drugim sposobem komunikacji Głuchych jest sztucznie utworzony w latach 60. XX wieku tzw. System Językowo-Migowy (SJM), często nazywany językiem miganym (w odróżnieniu od migowego), wymyślony na potrzeby osób słyszących, które chciały w jakiś sposób komunikować się z Głuchymi i uczyć ich polszczyzny. Postanowiono, że każdemu wypowiadalnemu w polszczyźnie słowu będzie odpowiadał jeden znak migowy. – W efekcie utworzono coś, co jest kalką polszczyzny fonicznej, wyrażoną za pomocą gestów – tłumaczy językoznawca. SJM powtarza polską składnię, szyk zdania, a w wersji standardowej nawet odmianę wyrazów.

Gdy chcemy zapytać, „ile masz lat?”, używając Systemu Językowo-Migowego, pod każde słowo podstawimy po prostu odpowiadający mu znak wizualny. Gdy o to samo pytamy w Polskim Języku Migowym, musimy najpierw pokazać znak „ty”, następnie „życie”, a na końcu „ile”. Ten przykład pokazuje, jak diametralnie różni się od siebie składnia i szyk w naturalnym języku migowym oraz w polszczyźnie. Słowo „polski”, występujące w nazwie Polski Język Migowy, nie oznacza bowiem, że jest on podobny do polszczyzny, ale że jest używany przez Głuchych w Polsce, w odróżnieniu od Głuchych z innych krajów – bo wbrew pozorom nie istnieje jeden międzynarodowy język migowy, co też jest często powielanym stereotypem. – Języki migowe wykształciły się na całym świecie. Siatka powiązań między nimi jest tak samo skomplikowana jak pomiędzy językami fonicznymi, tylko zupełnie inna – tłumaczy dr Rutkowski. – Na przykład brytyjski i amerykański język migowy są zupełnie różne, niezależnie od tego, że słyszący mieszkańcy tych krajów mówią tym samym językiem. Polski Język Migowy jest historycznie powiązany z francuskim i, paradoksalnie, amerykańskim migowym, który został przywieziony do Ameryki przez głuchego Francuza

Laurenta Clerca, a zupełnie różny od brytyjskiego. Pod względem gramatycznym nie jest bliski polszczyźnie fonicznej, lecz językom analitycznym, które nie mają fleksji, takim jak na przykład chiński – wyjaśnia dalej językoznawca.

Kwestia moralna

Jeśli niesłyszące dziecko od początku ma kontakt z naturalnym językiem migowym, automatycznie go przyswaja i „wchodzi” w kulturę Głuchych. Gdy styka się po raz pierwszy z Systemem Językowo-Migowym i ma go opanować, jest to dla niego jak nauka języka obcego, równie trudna i wymagająca tak samo wiele pracy.

Analogia do Anglika przekonującego Polaków, że powinni używać angielskiego, polega na tym, że naturalny język Głuchych – Polski Język Migowy – jest w naszym kraju całkowicie ignorowany, a edukacja prowadzona jest w wygodnym dla słyszących Systemie Językowo-Migowym. Tylko nieliczni nauczyciele, w szczególności w Instytucie Głuchoniemych w Warszawie, wykorzystują PJM w dydaktyce. W pozostałych placówkach stosuje się SJM; nawet surdopedagodzy, czyli osoby zajmujące się edukacją Głuchych, często w ogóle nie znają języka migowego. A i tak jest to duży postęp w stosunku do sytuacji sprzed kilkudziesięciu lat, gdy Głuchym zabraniano używania jakichkolwiek znaków migowych. Byli wtedy uczeni oralistycznie, tzn. zmuszano ich do przyswojenia języka fonicznego. Uczyli się np. wydawania odpowiednich dźwięków, których przecież nie mogli słyszeć, poprzez przykładanie ręki do krtani w celu wyczuwania dźwięczności, układanie warg czy poruszanie językiem pod okiem logopedy. Uczono ich wymowy, a nie języka. – Dla Głuchych taka nauka była katogą. System oralistyczny był nieludzki – opowiada dr Rutkowski. – W tamtych czasach dzieciom w szkołach wiązano ręce, żeby nie migaly – dodaje.

Dotychczasowe sposoby edukacji Głuchych mają zdaniem dr. Rutkowskiego bezpośredni związek z zupełnie nieuprawnionym stereotypem, że „Głuchy jest głupi”. – Głusi są w pełni sprawni intelektualnie i przygotowani do wyzwań stojących przed każdym człowiekiem, tylko trzeba im dać odpowiednie możliwości językowe. Niesłyszące dziecko, w tym samym okresie, gdy słyszący rówieśnik uczył się matematyki, biologii czy historii, poświęcało swój czas na naukę języka fonicznego i na starcie przegrywało – tłumaczy.

Przykładem dla Polski powinny być kraje, w których dostrzeżono naturalne języki migowe i przyznano im właściwy status jako medium w nauczaniu. Promuje się tam edukację dwujęzyczną. Dzięki niej osoby niesłyszące mogą za pomocą naturalnego języka migowego poszerzać swą wiedzę o świecie. W ich nauczaniu korzysta się z pracy tłumaczy, wykorzystuje pomoce audiowizualne. W USA istnieje nawet specjalny uniwersytet – Gallaudet University, gdzie pełny program wszystkich kierunków studiów realizuje się w amerykańskim języku migowym.

Decydowanie przez słyszących o edukacji Głuchych to według dr. Rutkowskiego dyskryminacja. – W czasach, gdy tak ważna dla wszystkich jest wielokulturowość i dbanie o mniejszości, problematyka Głuchych jest zupełnie niedostrzegana. Głusi są jedną z najbardziej skrzywdzonych i marginalizowanych mniejszości, nie z tego względu, że ludzie są do nich źle nastawieni, tylko dlatego że nie rozumieją ich potrzeb – przekonuje językoznawca. – A to nie jest kwestia pragmatycznych wyborów, to jest kwestia moralna – czy pozwalamy ludziom posługiwać się ich własnym rodzimym języ-



Dr Paweł Rutkowski wraz z zespołem Pracowni Lingwistyki Migowej, fot. PLM

kiem, w którym mają pełną ekspresję, który czują – wyjaśnia. Na SJM Głusi nie mają żadnego wpływu. – Są jedynie klientami systemu – podkreśla dr Rutkowski. System jest podporządkowany polszczyźnie, więc musi uwzględniać zachodzące w niej zmiany. Głusi jako użytkownicy SJM nie mogą sami go modyfikować.

Naukowcy z misją

Polski Język Migowy zanedbywany jest w Polsce nie tylko w edukacji osób głuchych, ale również jako obiekt badań naukowych. Bogata literatura opisuje języki migowe Ghany czy Nikaragui, w Polsce takie badania prowadzone są przez bardzo niewielu naukowców, a publikacje na ten temat ograniczają się do kilku książek i stosunkowo nielicznych artykułów.

Wyjątkiem jest na tym tle aktywność naukowa grupy badawczej skupionej wokół prof. Marka Świdzińskiego z Wydziału Polonistyki UW, prekursora badań nad PJM w Polsce, który zajął się tą tematyką, rozumiejąc trudną sytuację Głuchych i potrzebę rozwoju badań nad ich naturalnym językiem. Od kilkunastu lat profesor prowadzi seminarium poświęcone PJM. Jego pionierskie prace uświadomiły społeczności językoznawczej istnienie zagadnienia. Dzięki staraniom prof. Świdzińskiego utworzono na UW lektorat Polskiego Języka Migowego jako języka obcego, otwarty dla wszystkich studentów. Dla niewielkiego środowiska badaczy PJM profesor jest mistrzem, także dla dr. Rutkowskiego. Prace zapoczątkowane przez prof. Świdzińskiego kontynuować będzie istniejąca od 1 czerwca na Wydziale Polonistyki UW Pracownia Lingwistyki Migowej, kierowana przez dr. Rutkowskiego. Prof. Świdziński będzie jednym z jej członków.

Uniwersytet Warszawski to idealne miejsce do rozwoju badań nad PJM. Uczelnia kładzie duży nacisk na wyrównywanie szans edukacyjnych wszystkich studentów, jest pod tym względem wyjątkowa w skali kraju. Głusi studiujący na UW mogą złożyć wniosek o przydzielenie tłumacza języka migowego, który towarzyszy niesłyszącemu studentowi w trakcie ćwiczeń i wykładów. Świadomość problemów osób niesłyszących stwarza dobre warunki do rozwoju badań naukowych. – Władze uczelni i Wydziału Polonistyki są bardzo życzliwe tej problematyce – podkreśla dr Rutkowski.

Utworzenie pracowni, pierwszej jednostki w Polsce skupiającej się na badaniach nad PJM, było możliwe dzięki grantowi, który dr Rutkowski otrzymał z Fundacji na Rzecz Nauki Polskiej. W ramach programu FOCUS przyznano mu 300 tys. zł na projekt zatytułowany „Kategoryzacja gramatyczna przez przestrzeń i ruch w Polskim Języku Migowym”. Środki z FNP przeznaczone zostaną m.in. na stypendia dla członków jego zespołu, sfinansowanie ich

udziału w międzynarodowych konferencjach; pozwolą też na organizację seminariów na UW z udziałem badaczy z innych krajów. Pomoże to promować tematykę PJM w polskim środowisku naukowym i pokazać światu, że badania te szybko się rozwijają. Działania grupy skupionej na Wydziale Polonistyki już zostały zauważone. Zespół został zaproszony do międzynarodowej grupy, starającej się o wspólny grant z Unii Europejskiej w ramach programu COST (*European Cooperation in the Field of Scientific and Technical Research*).

Pracownia będzie się starać o kolejne dofinansowanie z FNP na zakup sprzętu komputerowego, specjalistycznego oprogramowania oraz wyposażenia studia nagrań, które pomoże w stworzeniu korpusu PJM. W językoznawstwie korpus (czyli zbiór tekstów pisanych, w formie elektronicznej) jest pomocny badaczom, np. gdy chcą ustalić, jak często używa się danej struktury językowej. W wypadku języków migowych korpus musi mieć charakter wizualny, a więc jest znacznie trudniejszy do opracowania oraz przetwarzania (powinien np. pozwalać na komputerowe przeszukiwanie tysięcy klipów filmowych). Celem członków pracowni, oprócz utworzenia takiego właśnie korpusu, będzie napisanie kompleksowej gramatyki Polskiego Języka Migowego. Członkami zespołu są w znacznej mierze osoby niesłyszące. – Chcemy otworzyć się na środowisko Głuchych. Nie chcemy sytuacji, w której my, „mądrzy słyszący”, opiszemy Głuchym ich język. Chcielibyśmy, żeby to oni sami nam o nim opowiedzieli – podkreśla dr Rutkowski.

Opisanie właściwości gramatycznych i socjolingwistycznych PJM to nie jedyne cele, jakie stawiają sobie uniwersyteccy językoznawcy. – Czujemy bardzo silnie misję społeczną, potrzebę zwiększania świadomości problematyki związanej z Głuchymi i ich odmienności językowo-kulturowej – tłumaczy dr Rutkowski. Dlatego też członkowie pracowni starają się jak najczęściej przedstawiać zagadnienia związane z komunikacją migową poza własnym środowiskiem naukowym, na przykład na spotkaniach z młodzieżą organizowanych przez Krajowy Fundusz na Rzecz Dzieci, czy też w ramach Uniwersytetu Otwartego UW. – Głusi często czują się wyalienowani ze społeczeństwa i traktowani z góry. Sami czują się członkami społeczności Głuchych, ale nie widzą, żeby słyszący doceniali ich odmienną kulturę. Chcielibyśmy, aby nasza praca naukowa i inne działania przyczyniły się do promocji tzw. „Deaf Pride”. Głusi w Polsce powinni być dumni z własnego języka i własnej kultury! – podsumowuje dr Rutkowski.

Więcej informacji na temat badań prowadzonych w Pracowni Lingwistyki Migowej można znaleźć pod adresem: www.plm.uw.edu.pl

PALMYRA – MIASTO ZBUDOWANE PRZEZ DŻINY

Marcin Wagner

Do Salomona rzecze Pan: Podnieś się, aby świat wyprowadzić z błędów, i powiedz dżinom, że rozkazuję im z kamiennych ciosów i kolumn wznieść miasto – Palmyrę. W taki sposób początki miasta opisał jeden z arabskich poetów An Nabiga adh Dubjani. Palmyra leży na pustyni syryjskiej, w połowie drogi karawanowej między starożytną Emesą (dziś. Homs) a współczesną miejscowością Abu Kamal nad Eufratem na granicy Syrii i Iraku. Właśnie za sprawą tak dogodnego położenia geograficznego, w II/III w. n.e. Palmyra odegrała wiodącą rolę w handlu między Wschodem i Zachodem, będąc portem przeładunkowym dla towarów przywożonych ze Wschodu i z terenów Imperium Rzymskiego. Do Palmyry zmierzały karawany ze wszystkich stron świata, handlowano na ulicach miasta chińskimi jedwabiami, przyprawami, karneolem, lapis lazuli, perłami oraz kością słoniową, za które płacono złotymi monetami. Historię handlu poznajemy dzięki taryfie uchwalonej przez Senat Palmyry w 137 r. i spisanej na wielkich płytach kamiennych. Znajdujemy tam informację na temat ceł, jakie powinni płacić kupcy za towary wwożone do miasta na wielbłądzie, ośle czy na wozie. Choć taryfy dawno już w Palmyrze nie ma – została wywieziona do Petersburga przez jednego z badaczy rosyjskich – to misja archeologiczna prof. Michała Gawlikowskiego z IA UW ma nadzieję w tym roku odsłonić i przebadać miejsce, w którym do końca XIX w. znajdowały się kamienne płyty taryfy.

Pozostałości osady, która istniała w tym miejscu w III tys. p.n.e., zostały odsłonięte na terenie świątyni boga Bela. Osada zwana *Tadmor*, znana jest z tekstów odnalezionych na stanowisku Kül Tepe oraz w Tell Hariri (star. Mari), a także z annałów Tiglat-Pileśara z początków IX w. p.n.e. Syryjczycy do dziś używają na określe-

nie swojego miasta nazwy Tadmor, w której pobrzmiewa hebrajskie *tamar* oznaczające palmę. Nie wiadomo kiedy zaczęto używać łacińskiej nazwy Palmyra, która przetrwała do naszych czasów wraz z historią o pięknej i wojowniczej królowej Zenobii, która potrafiła przeciwstawić się potęgze Rzymu na Wschodzie.

Rok po sromotnej przegranej Rzymian z sasanidzkim królem Szapurem I pod Edesą w 259 r., Odajnat, lokalny władca Palmyry wziął odwet i rozgromił armię perską. W nagrodę został odznaczony tytułem *correctora* (naprawiacza) na Wschodzie. Sam zaś zaczął używać tytułu „król królów”, zarezerwowanego dotąd jedynie dla królów perskich, co jak się wydaje było wyzwaniem rzuconym Persom. Wkrótce po tym wydarzeniu, Odajnat został zamordowany, być może przez kogoś z rodziny. Na liście podejrzanych znajduje się druga żona króla – wspomniana Zenobia, która po śmierci męża objęła rządy w imieniu swojego niepełnoletniego syna Wahaballata. Rozciągnęła ona swoją władzę na tereny Egiptu i Azji Mniejszej oraz biła własne monety. Cesarz Aurelian, nie mogąc dłużej tolerować zuchwałości Zenobii, najechał Palmyrę i w 272 r. zmusił królową do kapitulacji i udziału w tryumfalnym pochodzie w Rzymie. Zenobia była przyodziana w złote szaty ze złotymi i srebrnymi łańcuchami na rękach i nogach. Był to jednocześnie ostateczny upadek miasta.

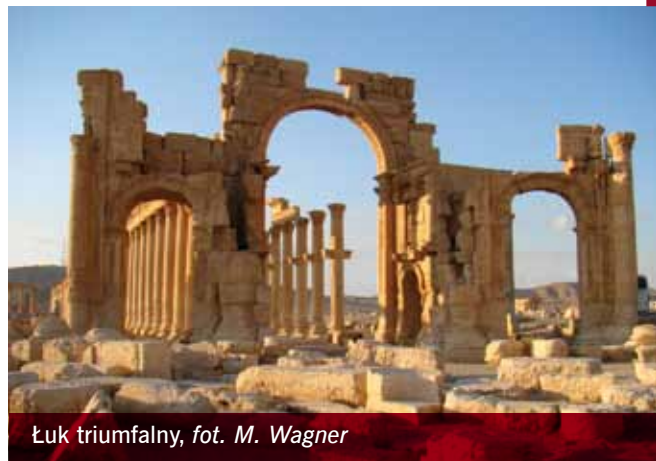
Pamięć o zapomnianej Palmyrze ponownie odżyła pod koniec XVII w., wówczas zaczęli się nią interesować pierwsi podróżnicy. Jako pierwsza dotarła tam grupa angielskich kupców z Aleppo, na czele której stanął kapelan William Halifax. W swojej relacji z podróży opisał m.in. wioskę założoną na dziedzińcu „bardzo wspólniejszej pogańskiej świątyni Jupitera Belusa”. W połowie XVIII w. Palmyrę odwiedzili Robert Wood z włoskim artystą o nazwisku Borra. Właśnie ryciny Borry stały się inspiracją dla Jana Chrystiana Kamsetzera przy projekcie teatru na wyspie w parku w Łazienkach Królewskich. Kilkanaście lat później w Palmyrze pojawił się francuski rysownik Louis-François Cassas, który pozostawił po sobie najśliczniejsze rysunki Palmyry.

Stojące wśród pustynnego piasku ruiny zrobiły także wielkie wrażenie na prof. Kazimierzu Michałowskim, który w 1959 roku rozpoczął w tym miejscu badania archeologiczne. Na miejsce wykopalisk wybrano zachodni skraj miasta zw. *Obozem Dioklecjana* oraz dwa groby wieżowe, wybudowane poza murami miasta.

Polscy naukowcy odkryli jeszcze wiele innych ważnych budowli i cennych zabytków m.in. posąg bogini Ateny, wzorowany na rzeźbie Fidiasza, płaskorzeźbę lwa atakującego kozicę, wiele reliefów nagrobnych z najślawniejszym reliefem Zabdy i jego żony Beltihan. W 2003 r. Polacy stali się autorami najbardziej sensacyjnego odkrycia. W jednym z domów przy głównej arterii miasta, zwanej Wielką Kolumnadą, została odsłonięta mozaika przedstawiająca Belerofonta zabijającego chimere oraz mężczyznę na koniu polującego na tygrysa. Sceny te zdaniem prof. Gawlikowskiego mają symbolizować walkę Rzymian z potęgą perską, z której zwycięsko wychodzi Cesarz.

W ostatnich latach Polscy archeolodzy pracują nad odsłonięciem dzielnicy chrześcijańskiej, do dziś udało się częściowo zrekonstruować trzy budowle kościelne. Dwa ostatnie sezony naukowcy poświęcili pracom w największej Bazylice IV.

Fundacja Przyjaciół Instytutu Archeologii UW wraz z Instytutem Archeologii UW i Centrum Archeologii Śródziemnomorskiej UW im. K. Michałowskiego przy wsparciu finansowym MNiSW otworzyły 24 czerwca w Muzeum Łazienkach Królewskich w Warszawie wystawę „*Oaza Wyobraźni – 50-lecie Polskiej Obecności w Palmyrze*”, podsumowującą pół wieku badań nad Palmyrą.



Łuk triumfalny, fot. M. Wagner

Marcin Wagner jest pracownikiem Instytutu Archeologii UW.

ILE EWOLUCJI W OCHRONIE PRZYRODY?

Anna Karnkowska-Ishikawa, Barbara Pietrzak

W obliczu ciągle malejącej różnorodności biologicznej, spowodowanej w dużej mierze działalnością człowieka, rodzi się wiele koncepcji ochrony przyrody. Jednym z pomysłów jest ochrona nie tylko samych gatunków, ale procesu ewolucji, który je kształtuje. Kluczowe w tej koncepcji jest zachowanie zdolności organizmów do adaptacji i dalszej ewolucji w nowych warunkach. Pomimo powszechnej akceptacji dla tego podejścia, nie jest łatwo zastosować je w praktyce. Podstawową trudnością jest skala czasu. Ochronę gatunków planuje się zwykle w perspektywie kilku, najwyżej kilkudziesięciu lat, jest to jednak zwykle zbyt krótki czas dla zajścia procesów ewolucyjnych. Z drugiej strony zmiany antropogeniczne powodują, że niektóre procesy ewolucyjne zachodzą bardzo szybko i można je obserwować, a także przewidywać. Można spodziewać się, że np. sprowadzanie obcych gatunków pasożytów doprowadzi do wyginięcia wielu gatunków, które nie miały czasu na wykształcenie odpowiednich mechanizmów obronnych.

Innym problemem związanym z wdrażaniem ewolucyjnego podejścia do ochrony przyrody jest koncentrowanie się na zachowaniu *status quo*, a nie na ochronie procesów, co skutkuje niezbyt częstym stosowaniem ewolucyjnego podejścia. Wydaje się jednak, że zbliżenie biologii ewolucyjnej i ochrony przyrody jest konieczne i możliwe. Procesy ewolucyjne próbuje się w tej chwili uwzględniać w planowaniu ochrony przyrody głównie na dwa sposoby. Przede wszystkim poprzez zachowanie odpowiednio wysokiego poziomu zmienności genetycznej chronionych gatunków. Zwiększa to ich potencjał ewolucyjny, a co za tym idzie szanse na przystosowanie się do nowych warunków. Nieco trud-

Ewolucyjne podejście do ochrony przyrody oraz inne aktualne zagadnienia związane z biologią ewolucyjną były tematami dyskusji uczestników 16. Europejskiej Konferencji Doktorantów Biologii Ewolucyjnej (*European Meeting of PhD Students in Evolutionary Biology, EMPSEB*), która w tym roku po raz pierwszy odbyła się w Polsce, w dniach 23-28 maja w Wierzbie. Konferencję zorganizowali doktoranci Wydziału Biologii UW i Instytutu Nauk o Środowisku UJ.

Więcej informacji o konferencji znaleźć można na stronie:
www.empseb2010.pl



Naukowcy oraz decydenci polityczni, chcąc poznać konsekwencje wprowadzanych przez człowieka zmian w środowisku, już zwracają się o pomoc do biologów ewolucyjnych w innej sprawie: przewidywania przyszłych stanów ekosystemów, między innymi w obliczu zmian klimatycznych. By prognozować skład i dynamikę liczebności populacji tworzących przyszłe biocenozy, trzeba uwzględnić nie tylko zmiany zachodzące w środowisku, ale i zmiany w samych organizmach, zachodzące w wyniku ewolucyjnej adaptacji do nowych warunków. Można obecnie przewidywać czas i zakres wzrostu dostosowania w dużych populacjach ewoluujących w prostych układach zmiennych środowiska, a te przewidywania potwierdzane są w układach eksperymentalnych. Rozumiemy już, w jaki sposób fluktuacje czynników środowiskowych oraz kierunkowe zmiany warunków wpływają na proces adaptacji. Jednak zmiany środowiskowe zachodzące w świecie rzeczywistym nigdy nie są proste i często trudno określić, jak wyniki eksperymentalnej ewolucji przeprowadzonej w laboratorium przekładają się na to, co dzieje się w świecie na zewnątrz. Najnowsze badania pokazują, że to, jak przebiega proces ewolucyjnej adaptacji i jaki jest jego końcowy wynik, zależy od tempa zachodzących zmian środowiskowych. Wyrafinowane doświadczenia przeprowadzone na jednokomórkowym glonie, zielenicy *Chlamydomonas*, pokazały, że im wolniej pogarszają się warunki środowiska, tym lepiej populacje dostosowują się do nowego otoczenia. Okazało się, że koszty takiej adaptacji są mniejsze, niż w przypadku nagłych zmian. Jednak wolniejsze zmiany środowiskowe powodują też to, że wynik procesu ewolucji jest mniej przewidywalny. Takie wyniki pokazują, że nie tylko zakres zachodzących w środowisku zmian, ale również ich tempo musi być brane pod uwagę podczas przewidywania wpływu np. zmian klimatycznych na produkcję pierwotną w oceanach.

Zbliżenie biologii ewolucyjnej i ochrony przyrody jest konieczne

niejszy wydaje się wybór gatunków, które powinny zostać objęte ochroną. Tutaj również z pomocą może przyjść biologia ewolucyjna. Podejmowane są próby oceny „unikalności” ewolucyjnej konkretnych gatunków czy też grup gatunków. O „unikalności” świadczy przede wszystkim relatywnie długa i niezależna historia ewolucyjna. Ważniejsze wydaje się zatem, ile gatunków będzie chronionych, ale raczej jak bardzo od siebie odległych ewolucyjnie. Ochrona gatunków odległych ewolucyjnie, a więc możliwie najbardziej różnych, zwiększa szanse, że znajdzie się wśród nich pewna część, która będzie w stanie przystosować się do ciągle zmieniających się warunków.

Anna Karnkowska-Ishikawa oraz Barbara Pietrzak są doktorantkami na Wydziale Biologii UW, były członkami komitetu organizacyjnego Europejskiej Konferencji Doktorantów Biologii Ewolucyjnej.

ZADZIWI SIĘ ŚWIATEM, CZŁOWIEKIEM, KULTURĄ

Etnologia na UW po 75 latach

Lech Mróz

Zadziwi się światem, człowiekiem, kulturą – to zdanie, które jest zarazem hasłem akcji reklamującej nasze studia, trafnie oddaje motywację i sens bycia etnologiem. Od samego początku istnienia tej dyscypliny zainteresowanie innym człowiekiem – jego kulturą, światem, który wytworzył wokół siebie i w którym żyje, różnorodnością wzorów czy obrazów kultur (także tych najnowszych) i próba zrozumienia ich – było podstawowym motywem lub raczej mechanizmem inspiracji. Gdyby nie fascynacja tą różnorodnością, gdyby nie próba zrozumienia, nie powstałyby zapewne ważne dzieła, a wiele kultur nie zostałoby opisanych. Bylibyśmy o wiele ubożsi wiedzą o innych, o różnorodności świata, ale też ubożsi w wiedzę o sobie.

Sięgając do początków etnologii (nie tylko polskiej) widzimy, jak silnym bodźcem, może nawet początkowo silniejszym niż zainteresowanie kulturą rodzimą, była ciekawość tzw. kultur egzotycznych – ich specyfiki i oryginalności. Pośród badaczy tych dalekich kultur byli i Polacy, choć nie było jeszcze Polski, kiedy Wacław Sieroszewski – zesłaniec, opisywał Jakutów, Jan Czekanowski mieszkańców środkowej Afryki, Bronisław Malinowski tubylców melanezyjskich

inauguracyjny wygłosiła prof. Jędrzejewiczowa w połowie października 1934 r. Tak więc rok 1935 możemy uważać za datę rzeczywistego już funkcjonowania etnologii na UW.

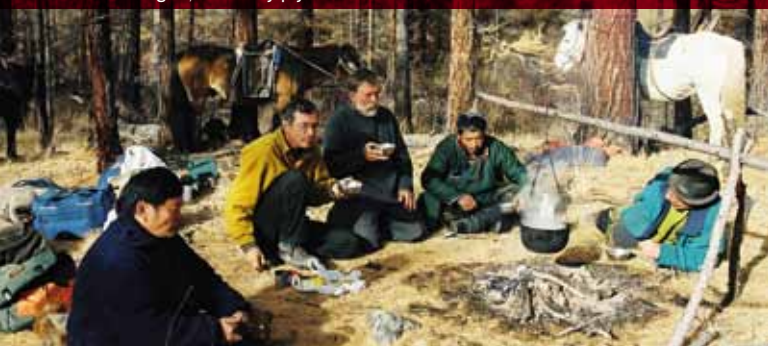
Spśród siedmiorga ówczesnych polskich profesorów etnologii czworo związanych było z Warszawą. Oprócz wymienionych działał tu jeszcze Jan Stanisław Bystroń, kierujący Katedrą Socjologii UW i Eugeniusz Frankowski, który był dyrektorem warszawskiego Muzeum Etnograficznego (zarazem kierował Katedrą Etnografii i Etnologii Uniwersytetu Poznańskiego). W owym czasie Warszawa była najsilniejszym ośrodkiem etnologicznym w Polsce. I nawet jeśli nie jest najsilniejszym obecnie (ocena jest trudna, wiele bowiem składa się na nią elementów), to na pewno jest jednym z dwóch najlepszych. Pozwala tak sądzić nie tylko liczba pracowników naukowych obecnego Instytutu Etnologii i Antropologii Kulturowej, nie tylko liczba studentów, wielość publikacji, lecz także rozległość pól badawczych, obszarów, które staramy się poznać i opisać – obszarów w sensie geograficznym, a może przede wszystkim tematycznym.

Po zakończeniu II wojny światowej sytuacja zmieniła się zasadniczo. Prof. Poniatowski zmarł w drodze powrotnej z obozu koncentracyjnego, prof. Baudouin de Courtenay Ehrenkreutz-Jędrzejewiczowa (wdowa po premierze przedwojennego rządu) pozostała w Anglii. Józef Obrębski, wybitny badacz Polesia i Macedonii, przewidywany na kierownika katedry po prof. Poniatowskim, przyjął propozycję pracy w USA i tam już pozostał. W 1948 r. połączono obie katedry, a od 1949 r. kierownictwo nowej placówki objął docent Witold Dynowski. Do Warszawy przybył wraz z prof. Baudouin de Courtenay Ehrenkreutz-Jędrzejewiczową z Wilna. To dzięki niemu nastąpiła rewitalizacja etnologii na UW. Przez wiele lat, aż do przejścia na emeryturę w 1973 r., kierował katedrą, stopniowo poszerzając – mimo mało sprzyjającego czasu – obszary badań, tematykę, stan kadrowy i bazę lokalową. To pod jego kierownictwem powojenna etnologia warszawska zaczęła odkrywać Mongolię, potem Bułgarię i Macedonię. Przechodząc na emeryturę, powierzył prof. Dynowski kierowanie katedrą swojej uczennicy, docent, a wkrótce też profesor Zofii Sokolewicz (pozostała na tym stanowisku do roku 1999). Po prof. Sokolewicz ja objął Katedrę Etnologii i Antropologii Kulturowej, która w roku 2000 r. podniesiona została do rangi instytutu.

Początek lat 90. to dla etnologii czas nieomal nowych narodzin. Zmiany, jakie dokonały się w kraju i w Europie, bardzo istotnie zaważyły także na warszawskiej etnologii. Coraz dalej i śміiej docieramy z naszymi badaniami, bowiem zasadniczo poszerzył się nasz horyzont mający oparcie we współczesnych opracowaniach i aktualnym stanie wiedzy. W pewnych obszarach jesteśmy cenieni jako eksperci, a nie tylko konsumenci cudzych myśli.

Oprócz Polski są obszary nam bliższe, gdzie od lat prowadzimy badania, np. kraje bałkańskie, Azji Centralnej i takie, które znalazły się w zasięgu naszych możliwości po zmianach lat 90. Nie zawsze są to obszary odległe geograficznie, jednak dopiero od dwudziestu lat możliwe stały się penetracje Litwy, Ukrainy czy Federacji Rosyjskiej. Oczywiście była potrzeba wychodzenia poza dotychczasową problematykę i podjęcie nowych zagadnień, bez tego poznanie współczesnego świata byłoby niepełne.

Profesorowie Lech Mróz i Jerzy Wasilewski podczas badań w północnej Mongolii, fot. zbiory prywatne



Wysp Trobrianda. A to tylko trzy spośród wielu nazwisk tych, którzy badali i opisywali mieszkańców odległych obszarów, współtworząc podstawy naukowe etnologii polskiej, choć każdy z nich z innego zaboru wyruszył w świat.

Siedemdziesiąt pięć lat minęło od utworzenia na Uniwersytecie Warszawskim kierunku studiów etnologicznych. Dokładniej – Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego powołało już we wrześniu roku 1933 Katedrę Etnografii Polskiej, którą powierzono sprowadzonej z Wilna prof. Cezarii Baudouin de Courtenay-Jędrzejewiczowej. Utworzono też Katedrę Etnografii i Etnologii Ogólnej, którą powierzono prof. Stanisławowi Poniatowskiemu, kierownikowi Zakładu Etnologii Instytutu Nauk Antropologicznych i Etnologicznych Towarzystwa Naukowego Warszawskiego. Wykład

Prof. dr hab. Lech Mróz jest dyrektorem Instytutu Etnologii i Antropologii Kulturowej UW. W swoich badaniach zajmował się m.in. Cyganami w Polsce i Europie, prowadził badania terenowe na Bałkanach, na pograniczu polsko-litewsko-białoruskim oraz polsko-ukraińskim.

WSPÓLNOTA WYOBRAŻONA CZY WSPÓLNOTA KRWI?

Kategoria „naród” w dyskursie nauk społecznych i wiejskim dyskursie potocznym

Anna Malewska-Szałygin

Współcześnie w naukach społecznych dominują konstruktywistyczne objaśnienia pojęcia naród, których kwintesencję dobrze oddaje tytuł popularnej książki Benedykta Andersona „Wspólnoty wyobrażone”. Ujęcie konstruktywistyczne zakłada, że narody to wspólnoty powstałe wskutek upowszechnienia idei narodowych. Opisując przebieg procesu popularyzacji idei narodowych w Europie, autorzy opracowań podkreślają różne kształtujące go czynniki. Benedykt Anderson wysuwa na plan pierwszy znaczenie drukarstwa, którego rozwój umożliwił rozszerzanie zasięgu oddziaływania publicystyki. Krzysztof Pomian łączy popularyzację koncepcji narodowych w kręgach europejskiego mieszczaństwa z okresem wojen napoleońskich. Ernest Gellner wypunktowuje rolę państwowego szkolnictwa, będącego niezwykle skutecznym narzędziem upowszechniania tych idei. Eric Hobsbawm charakteryzuje proces wdrażania idei narodowych w społeczeństwach europejskich jako efekt zabiegów elit symbolicznych. Przy naszkicowanych odmiennościach rozłożenia nacisków, wszyscy wymienieni autorzy wiążą propagowanie idei narodowych z określonym stadium rozwoju kapitalistycznego systemu gospodarczo-społecznego. Ich rozważania uzupełnia refleksja nad integracyjnym oddziaływaniem idei narodowych, które po „odczarowaniu świata”, jak proces sekularyzacji Europy nazwał Max Weber, miały zastąpić idee religijne. Przy całej różnorodności ujęcia te bazują na przekonaniu, że naród to wspólnota połączona przede wszystkim podzielanymi ideami. Żeby wystrzyżać nieco to ujęcie można zacytować objaśnienie Arjuna Appadurai, piszącego że naród to „wytwór zbiorowej wyobraźni”.

Słownikowe objaśnienia pojęcia naród są mniej skłonne do podkreślania ideowego czy wyobrażeniowego charakteru tożsamości narodowej. Wskazując na bardziej konkretne czynniki spajające wspólnotę narodową, takie jak podzielane terytorium czy doświadczenia historyczne, odznaczają się jednak zdecydowanie od podejścia określanego mianem primordializmu. Primordialne objaśnienia, charakteryzując naród, na plan pierwszy wysuwają czynniki naturalne – opisywane w kategoriach więzów krwi czy powiązań genetycznych, determinujących tożsamość jednostki w sposób niezależny od jej świadomości i woli. Primordialne objaśnienia wspólnot narodowych, popularne wśród europejskich elit w XIX i na początku XX wieku, we współczesnym dyskursie nauk społecznych zostały całkowicie przezwyciężone, między innymi na skutek tragicznych doświadczeń II wojny światowej.

Tymczasem w dyskursach potocznych tego typu wyjaśnienia wciąż są żywe, czego dowodzą materiały zebrane w ramach projektu badawczego realizowanego przez Instytut Etnologii i Antropologii Kulturowej UW. Badania terenowe, dotyczące lokalnych wyobrażeń o władzy, państwie i narodzie, prowadzone były we wsiach powiatu Nowy Targ. Materiały zgromadzone w trakcie prac prowadzonych metodą etnograficzną (badania jakościowe, których podstawą są obszernie rozmowy) ujawniły, że w wiejskim dyskursie potocznym

wciąż dominuje wykładnia pojęcia naród, opisująca go przez porównanie do wielkiej rodziny – *rodu rodów*. Przekonanie o wzajemnym spokrewnieniu członków narodu było w czasie badań odnotowywane wielokrotnie i to nie w sensie przenośnym jako opisanie duchowych czy świadomościowych więzów, ale jako przekonanie o istnieniu więzów naturalnych. Taka koncepcja wspólnoty narodowej pojawiała się w wypowiedziach objaśniających pojęcie naród: *Naród to jak rodzina w domu! Rodowód przede wszystkim! Korzenie! Jakże on pochodzenie ma!* Widoczna była też w zaskakujących wypowiedziach dotyczących na przykład małżeństw mieszanych polsko-słowackich, zdarzających się zwłaszcza we wsiach na Polskim Spiszu. Właśnie w takim kontekście pojawiły się rozważania o czystości krwi dzieci urodzonych w takich rodzinach – *no niby jak ma obywatelstwo to jest Polakiem, ale jak mówię nie czystej krwi to pokolenie jest, dopiero później czyste się staje (...) to tak jak mówią o zwierzętach, że jedno ma rodowód a drugie nie, ale pokolenie przechodzi i on dostaje ten czysty rodowód, nie?!*

Primordialne objaśnienia pojęcia „naród” na plan pierwszy wysuwają czynniki naturalne – opisywane w kategoriach **więzów krwi** czy **powiązań genetycznych**, determinujących tożsamość jednostki w sposób niezależny od jej świadomości i woli

Zarówno opisywanie narodu jako ogromnej rodziny, wspólnoty krewniaków pochodzących od wspólnych przodków, jak i koncepcja czyszczenia się krwi w kolejnych pokoleniach ujawniają, że w wiejskim dyskursie lokalnym idee primordialne są wciąż żywe. Unieważnienie koncepcji primordialnych w dyskursie nauk społecznych i zastąpienie ich ujęciami konstruktywistycznymi nie oznacza odejścia od nich w dyskursach potocznych. Warto o tym pamiętać, bo jak pokazują to prace uhonorowanego niedawno doktoratem *honoris causa* UW Ivana Čolovicia, primordialne podejście do kwestii narodu może być wykorzystane w działaniach propagandowych, za pomocą których można je umacniać i ożywiać. Niebezpieczeństwo aktywizacji miał na myśli Arjun Appadurai pisząc o „czarnej skrzynce primordializmu”. Nie sądzę, żeby współczesny primordializm był ukryty w czarnej skrzynce, możliwej do odczytania tylko przez ekspertów – politologów czy socjologów, którzy tego typu koncepcje uważają za należące do języka epoki minionej. Nowotarskie badania pokazują, że koncepcje primordialne wciąż funkcjonują w dyskursach potocznych i mogą zostać wykorzystane do celów politycznych.

Dr hab. Anna Malewska-Szałygin jest adiunktem w Instytucie Etnologii i Antropologii Kulturowej UW. W latach 1999-2005 prowadziła na terenie powiatu Nowy Targ badania terenowe dotyczące lokalnych wyobrażeń o władzy, państwie i narodzie.

MIĘDZY PRAKTYKĄ A IDEOLOGIĄ

Pasterstwo reniferów w Jakucji

Wojciech Lipiński

Dla wielu społeczności północnej Eurazji pasterstwo reniferów stanowiło przez wieki podstawę przetrwania. Na Syberii odgrywa ono wciąż istotne znaczenie. Tradycje pasterskie stają się ważnym symbolem kulturowej specyfiki i odrębności ludów Północy.

Większość spośród około dwumilionowej populacji udomowionych reniferów hodowana jest na Syberii. W jej wschodniej części, na terytorium Republiki Sacha (Jakucja), pasterstwem zajmują się niewielkie liczebnie społeczności autochtoniczne, zwane ludami Północy – Ewenkowie, Eweni, Jukagirzy, Czukczowie i Dołganie. W strefie tajgi, gdzie zamieszkiwali Ewenkowie oraz część Ewenów i Jukagirów, pasterstwo miało zazwyczaj znaczenie pomocnicze, niewielkie stada hodowanych zwierząt służyły tam jako środek transportu w trakcie łowieckich wypraw. Z kolei tundrowi Czukczowie i Dołganie nie musieli wędrować w poszukiwaniu dzikiej zwierzyny, pożywienia dostarczały im wielotysięczne stada hodowanych reniferów.

W XX w. tundrowe wzorce zostały zaadaptowane i przetworzone przez radzieckich specjalistów. Hodowla reniferów stała się jedną z gałęzi gospodarki wiejskiej w Związku Radzieckim. Analogicznie jak w przypadku obszarów rolniczych w europejskiej części ZSRR, także na dalekiej Północy tworzono wielkie gospodarstwa kolektywne. Podstawą funkcjonowania wielu syberyjskich kolchozów była wielkostadna hodowla reniferów. Ingerencja państwa miała dwojaki skutki. Z jednej strony praktyka gospodarki plano-

sami pasterze, zaczęło się „przejadanie stad”. W drugiej połowie lat 90. pogłowie reniferów w Jakucji zmniejszyło się niemal dwukrotnie w stosunku do stanu z początku poprzedniej dekady.

Kryzys w pasterstwie reniferów zwrócił uwagę na jego znaczenie w podtrzymywaniu kulturowej odrębności ludów Północy. Próba jego ochrony było wprowadzenie instytucji *obszczin* (wspólnot) – podmiotów prawa gospodarczego, które miały zastąpić upadające kolchozy. Ich inicjatorzy uznawali, że *obszcziny* staną się zalążkiem powrotu do tradycyjnych form życia społecznego i gospodarczego. Dzięki nim miało się dokonać rzeczywiste odrodzenie kulturowe ludów Północy.

By wesprzeć ten proces, ideolodzy ruchu odrodzeniowego – głównie środowisko miejskiej inteligencji o jukagirskich oraz eweńskich i ewenkijskich korzeniach – zaczęli na różne sposoby podkreślać rolę pasterstwa. Za symbol zrzeszającej ich organizacji, Stowarzyszenia Ludów Północy Jakucji, obrali rysunek renifera i dwóch pasterskich namiotów. Wraz z przedstawicielami innych ludów syberyjskich włączyli się w działalność międzynarodowego Stowarzyszenia Pasterzy Reniferów, którego III Kongres w 2005 r. odbywał się w Jakucku. W swoich wystąpieniach i publikacjach zwracają uwagę na unikalne osiągnięcie, jakim było ich zdaniem dokonane przez ludy Syberii udomowienie renifera. Podkreślają, że pasterstwo to nie tylko rodzaj zajęcia, ale pewien całościowy typ kultury. Renifer odgrywa w niej centralne miejsce, zarówno jako źródło pożywienia i surowców, ale też jako bohater mitologii, zwierzę wokół którego powstał zespół wierzeń, obrzędów i praktyk. Zwracają uwagę, że to dzięki tak szczególnemu związkowi z reniferami możliwe było zachowanie przez ludy Północy swej odrębności.

Jednocześnie pozytywne waloryzowanie tradycyjnego sposobu życia wpisuje się w szerszy nurt przemian dotyczących społeczności rdzennych na całym świecie. Do niedawna uznawano je za prymitywne i skazane na asymilację. Dziś coraz częściej dostrzega się w nich strażników wiedzy i wartości, jakie zatracić miała cywilizacja zachodnia – ludzie żyjących według tradycyjnych wzorców i w harmonii z przyrodą. Wyidealizowany obraz, swoiste odnowienie mitu „szlachetnego dzikiego”, chętnie prezentują działacze tubylczych organizacji. Pasterstwo reniferów doskonale z tym wizerunkiem współgra. By ten nowy obraz utrwalić, liderzy ludów Północy podejmują różne działania. W wielu miejscach Jakucji rokrocznie organizowane jest, wywodzące się jeszcze z czasów radzieckich, Święto Pasterzy. Ewenkowie zorganizowali pod Jakuckiem „kompleks etnograficzno-kulturalny”, gdzie można zobaczyć hodowane przez nich renifery. Wraz z nimi pojawiają się też rokrocznie na obchodach jakuckiego święta narodowego Ysyach.

Przydając tak ważne znaczenie reniferom, liderzy ludów Północy widzą też w pasterstwie jedyną szansę na przetrwanie swoich wspólnot w przyszłości. Myśl tę wyraził dobitnie wieloletni prezes Stowarzyszenia Ludów Północy Jakucji Andriej Kriwoszapkin, mówiąc: *Zginie renifer – zginie lud Północy. Cała historia i dusza narodu są nierozdzielnie związane z reniferami. Nie będzie renifera – nie będzie narodu. Taki jest ten związek, taka jest dialektyka naszego życia.*



Pasterz reniferów, fot. W. Lipiński

wej i państwowych dotacji przyczyniła się do przetrwania hodowli. Jednak by mogło się dokonać przejście od tradycyjnego pasterstwa do przemysłowej hodowli, konieczne było wprowadzenie zmian w życiu ludów Północy. Dawnych koczowniców osiedlono w stałych osadach, przekaz międzypokoleniowy zastąpiono systemem szkolnictwa, opiekę nad stadami przekazano pasterskim brygadom, nie tylko izolując pasterstwo od życia rodzinnego, ale i rozłączając same rodziny. Pasterstwo stało się zawodem, w dodatku o bardzo niskim prestiżu. Wszystko to spowodowało, że w okresie kryzysu zabrakło jakichkolwiek mechanizmów stabilizacji. Jak mówią dziś

Dr Wojciech Lipiński jest adiunktem w Instytucie Etnologii i Antropologii Kulturowej UW. W 2009 r. obronił pracę doktorską „Tożsamość w społeczności wieloetnicznej. Studium relacji etnicznych w północno-wschodniej Jakucji”.

BOJKOWSZCZYNA — KRAINA POGRANICZA

Tadeusz Baraniuk

Z trzech grup górali rusińskich zamieszkujących Karpaty – Huculów, Łemków i Bojków – ci ostatni w polskiej literaturze etnograficznej są najsłabiej opisani. Rozciągająca się między rzekami Oslawą w polskich Bieszczadach a Łomnicą na wschodzie Bojkowszczyzna uchodziła za teren biedny, trudno dostępny, gdzie przechowało się wiele relikwów kulturowych. Obraz ten niełatwo dziś zweryfikować, albowiem tuż po II wojnie światowej ludność bojkowska z polskich Bieszczad została wysiedlona na tereny ZSRR, a pozostałych mieszkańców w ramach akcji „Wisła” w 1947 r. przesiedlono na ziemie zachodnie i północne Polski. W wyniku tych przemieszczeń Bieszczady aż do lat 60. minionego wieku faktycznie stały się pustką osadniczą, a o swoistości kulturowej i dramatycznych kolejach losu autochtonów można było wnioskować na podstawie tego, co zebrano w muzeach oraz materialnych śladów w terenie – zarośniętych traktów i siedlisk, pozostałości cerkwi i cmentarzy.

Kiedy w 2005 r. zastanawiano się, w jakiej części Karpat ukraińskich rozpocząć badania etnograficzne studenckich grup laboratoryjnych wybór padł na Bojkowszczyznę. W lipcu tegoż roku znaleźliśmy się we wsi Werchnje Wysockie, położonej w dolinie Stryja, w południowej części rejonu turczańskiego, nieopodal granicy z Polską. Podczas pięciu wyjazdów badania prowadziliśmy w tej miejscowości oraz w okolicznych wsiach, położonych po obu stronach rzeki.

Pierwsze, nasuwające się spostrzeżenia wynikały z konfrontacji postrzeganej rzeczywistości z wiedzą, wyniesioną z lektur etnograficznych. Co prawda w krajobrazie nadal dominuje budownictwo drewniane, lecz trudno już znaleźć charakterystyczne kiedyś dla tego obszaru wąskie, jednotraktowe *chłyże* z bali, gdzie pod jednym, stromym i mocno schodkowym dachem mieściła się chata i pomieszczenia gospodarskie. Zazwyczaj domy są dość okazałe, oszalowane deskami i pomalowane, często z jednego lub dwóch boków obudowane przeszklonymi werandami. Jedynie w górskich, położonych peryferyjnie wsiach, jak znana z przewodników turystycznych i określana jako „żywy skansen” Libuchora, spotykamy przykłady starego budownictwa, w tym półkurne chaty z polepą i glinianym piecem. Istotne zmiany nastąpiły także w krajobrazie naturalnym – dorodne lasy świerkowe, schodzące niemal do granicy wsi, zostały przetrzebione w ciągu ostatnich kilkunastu lat, co miało być spowodowane kryzysem gospodarczym. Dziś ta rabunkowa gospodarka, jak się wydaje, została powstrzymana. O jej skali świadczyć mogą butwiejące przyzmy tarcicy, widywane na poboczu dróg.

Obserwując życie mieszkańców wsi, typy więzi sąsiedzkich i zachowania, nasuwa się obraz czegoś znajomego, nieco przypominający trudne lata, które nastały w Polsce po upadku kolektywizacji wsi – mozołnie odradzające się indywidualne rolnictwo, niska opłacalność produkcji rolnej. Dotyczy to nawet tak sprawdzonej gałęzi gospodarki jak pasterstwo – zastąpiła je ograniczona hodowla bydła (zazwyczaj 1-2 krowy) i zaprzestanie wypasu na połoninach. Zapewne z tego względu jednym ze sposobów radzenia sobie stała się emigracja zarobkowa, przede wszystkim do krajów południowych (Włochy, Hiszpania) oraz wyjazdy do Moskwy, gdzie na budowach pracują brygady cieśli z Bojkowszczyzny.

Zarysowane czynniki to tylko najbardziej uchwytne, widoczne „gołym okiem” symptomy zmian. W badaniach etnograficznych w pierwszym rzędzie interesowały nas jednak fenomeny kulturowe, występujące na obszarze niegdyś wielokulturowego pogranicza. Pomimo metodycznej działalności władz w czasach ZSRR, takich m. in. jak ateizacja i cenzurowanie ukraińskich symboli, tradycyjne formy religijności i sfery wierzeniowo-obrzędowej kultury



Cmentarz w Libuchorze – słupki z dawnej granicy polsko-czechosłowackiej wykorzystane jako podstawa krzyży, fot. T. Baraniuk

w dużej mierze przetrwały, a po 1991 r. zaczęły się odradzać i służyć konstruowaniu nowej tożsamości. Widać to choćby w renesansie *wertepu* – obchodu przebranych kołędników, w którym wskutek aktualizowania treści pojawia się postać „Ukraińska Bieda”, w nasyconiu obrzędu weselnego symbolami narodowymi, w popularności kostiumu damskiego zwanego „ukraińską formą”. W mnogości podobnych przykładów trudno znaleźć jednakże takie, które by wskazywały na równoczesną żywotność tożsamości regionalnej, bojkowskiej. Pomimo tego, że w wielu miastach dość prężnie działa stowarzyszenie „Bojkiwszczyzna”, wydawany jest tygodnik regionalny pod takim samym tytułem oraz rocznik popularnonaukowy „Bojky”, a w rejonowej Turce co dwa lata odbywa się międzynarodowy festiwal bojkowski. Być może istotnym źródłem braku regionalnych identyfikacji jest to, iż – jak wynika z badań – od dawna określenie „Bojko” odczuwano jako pejoratywne i prześmiewcze, tak bowiem mieszkańcy dolin z wyższością nazywali swych sąsiadów z gór. Powiadano, że okolice Turki to *strony zatürkane*, gdzie diabeł mówi dobranoc. Potwierdzeniem tych opinii może być zbiór kilkunastu przysłów z początku XX w., z których jedno mówi: *Takyy douhlyj, jak Bojkiw swit!* Za czasów II Rzeczypospolitej mieszkańcy tych stron przedstawiali się jako *Rusyn*.

Na wielu tutejszych domach można dostrzec namalowany od strony drogi sielankowy obrazek: mężczyzna w stroju ludowym na tle świerków i gór dmie w pasterską trembitę. Czy to Bojko? Nie, to nie Bojko – to Hucuł!

Dr Tadeusz Baraniuk jest adiunktem w Instytucie Etnologii i Antropologii Kulturowej UW. Wraz ze studentami prowadził badania terenowe na Ukrainie – „Bojkowszczyzna. Kultura duchowa na pograniczu etnicznym” (2005-2006) oraz „Bojkowszczyzna. Kultura i pamięć na pograniczu etnicznym” (2007-2008).

NOWY SYLABUS — ZMORA CZY SZANSA?

Do 30 maja każdy wykładowca naszej uczelni musiał wprowadzić do USOS-a opis przedmiotów, które prowadzić będzie w semestrze zimowym przyszłego roku akademickiego, stosując się do zarządzeń Rektora UW z lutego i maja tego roku. Na ich podstawie dotychczasowy sylabus został rozszerzony, pojawiły się nowe kategorie, jak np. „efekty uczenia się”. Decyzja władz wywołała protesty pracowników i głośną dyskusję o sensowności wprowadzonych zmian. Nad nowym sylabusem obradował Senat, ale krytyczne głosy nie ucichły. O kontrowersjach związanych z nowym sylabusem z prof. Martą Kicińską-Habior, prorektor UW ds. studenckich, rozmawia Katarzyna Łukaszewska

Skąd pomysł na wprowadzenie nowego sylabusa? Czy nie wystarczyłby dotychczasowy opis przedmiotów, dostępny w USOS-ie?

M. K-H.: Mogłabym odpowiedzieć na to pytanie w sposób formalny, czyli powołać się na akty prawne, które nas – jako uczelnię wyższą – obligują do wprowadzenia nowego opisu przedmiotu. Jednak ponieważ przedstawiłam to już na posiedzeniu Senatu, a Pani mimo to mnie o to pyta, rozumiem, że moja wcześniejsza odpowiedź nie zadowoliła dużej części społeczności akademickiej. Dlatego chciałabym zacząć od drugiego końca i przedstawić sprawę szerzej, nie ograniczając się do samego Uniwersytetu.

Wielu z naszych profesorów doskonale pamięta czasy, gdy na uczelni wyższe przyjmowaliśmy 10 procent najzdolniejszej młodzieży z danego rocznika. Można było wtedy założyć, że wszyscy oni uzyskują podobne, gruntowne wykształcenie. Obecnie studiuje ponad 50 procent osób z każdego rocznika. Nie ma powodu nie wierzyć, że nadal 10 procent reprezentuje tych najzdolniejszych, którzy uzyskują takie wykształcenie jak dawniej, pozostali słabiej przyswajają wiedzę i umiejętności. Warto sprawdzić, czego i w jakim stopniu są oni w stanie się nauczyć. Świadomość tego, pozwoli nam zmodyfikować niektóre programy studiów tak, aby i oni zdobywali podstawową wiedzę i umiejętności, przydatne w dalszej karierze zawodowej.

Różniczenie poziomów kształcenia, rozszerzenie autonomii uczelni w sferze dydaktyki poprzez dopuszczenie samodzielnego tworzenia programów kształcenia, a także zapewnienie metod sprawdzenia, że absolwent uzyskał kompetencje, a te kompetencje to tzw. efekty uczenia się zgodne z określonymi standardami – dyplomem, świadectwem czy certyfikatem – wszystko to jest celem wprowadzenia w Polsce Krajowych Ram Kwalifikacji. Zakłada to przekazany do konsultacji społecznych projekt nowelizacji ustawy „Prawo o szkolnictwie wyższym”. „Efekty uczenia się” określają, co uczący się wie, rozumie i potrafi wykonać po zakończeniu nauki. Wyraża się je w kategoriach wiedzy, umiejętności i innych kompetencji. Ministerstwo zaleca, aby przy budowaniu wszelkich programów nauczania jako podstawowy element wykorzystywać właśnie te efekty, przy czym należy stosować się do ogólnych zasad określonych dla danego poziomu Krajowych Ram Kwalifikacji (np. studia pierwszego lub drugiego stopnia) i określonego obszaru kształcenia, jak np. nauki humanistyczne, nauki ścisłe czy społeczne.

Najważniejszą konsekwencją wprowadzenia Krajowych Ram Kwalifikacji będzie zniesienie centralnej listy kierunków studiów i towarzyszących im ramowych treści kształcenia. Ta zmiana może

stanować dla wielu uczelni prawdziwe wyzwanie, ponieważ stworzy możliwość tworzenia własnych programów, bez ograniczenia ścisłymi standardami ustalonymi przez ministerstwo. Wiąże się to jednak z pewnym zobowiązaniem – do 2012 r. państwa Unii Europejskiej powinny dopilnować, aby wystawiane w danym kraju indywidualne zaświadczenia o kwalifikacjach, a więc dyplomy, zawierały odniesienie do odpowiedniego poziomu Europejskich Ram Kwalifikacji.

Ale przecież opisy przedmiotów funkcjonują na UW od lat.

M. K-H.: Tak, ale nie spełniają wymagań. W większości przypadków zawierają tylko opis wiedzy, jaką przekazujemy studentom. A przecież nawet w obecnych programach przekazujemy im szereg umiejętności, trzeba je tylko wyłowić i nazwać. Gdy już będą znane efekty uczenia się dla poszczególnych przedmiotów, trzeba się będzie zastanowić, jak się to przedstawia dla całych programów studiów, bo być może gubimy jakieś umiejętności albo powtarzamy coś zbyt często.

Przemiana, która zachodzi obecnie w szkolnictwie wyższym, polega na uświadomieniu, że proces nauczania studentów zmienia się w proces uczenia się studentów. Poprzednio zadawane absolwentowi pytanie: „jakie przedmioty studiowałeś, żeby dostać dyplom?” zmienia się w pytanie „co potrafisz teraz po uzyskaniu dyplomu?” Proces uczenia się powinien prowadzić do uzyskania odpowiednich efektów. Student będzie przychodził na uczelnię, albo już przychodzi, by zdobyć konkretną wiedzę i umiejętności, a nie żeby chodzić na zajęcia przez 2, 3 czy 5 lat i dostać dyplom. Dlatego efekty uczenia się, odpowiadające określonemu programowi studiów, muszą być *explicit* wymienione i nikt inny tylko uczelnia, a więc jej kadra naukowo-dydaktyczna, powinna określić, czego student może się nauczyć w ramach danego przedmiotu/programu studiów. Do uczelni należy także opracowanie metod sprawdzenia, czy student te kompetencje uzyskał. Potrzebne jest zaangażowanie środowiska akademickiego, żeby wymyślić wiarygodne sposoby dokumentowania efektów uczenia się. Niektóre z nich stosujemy od lat, jak wyniki egzaminów czy prace magisterskie. Warto się zastanowić czy zawsze stosowane przez nas sprawdziany dokumentują te kompetencje, które chcielibyśmy uzyskać.

Dodatkowo to, czy w opisach przedmiotów są uwzględnione efekty uczenia się i czy mamy mechanizmy, które sprawdzają, że student dane kompetencje naprawdę uzyskał, będzie badała Komisja Akredytacyjna.

Ale dlaczego opis przedmiotu musi być aż tak sformalizowany? Najwięcej kontrowersji wzbudza właśnie rubryka „efekty uczenia się”, szczególnie punkt „postawy”. Zaleca się stosowanie w niej konkretnych czasowników w stronie czynnej. To jak klucz w nowej maturze.

M. K-H.: To sformalizowanie jest pozorne. Może tak to wygląda, ponieważ sylabus został „włożony” do tabeli. Zaproponowane wzory opisów miały pomóc wykładowcom, żeby wiedzieli, jak do tego podejść.

Prezentacja prof. Marty Kicińskiej-Habior, dotycząca sylabusa, przedstawiona na kwietniowym posiedzeniu Senatu dostępna jest na stronie Biura ds. Jakości Kształcenia: www.bjk.uw.edu.pl.

Zamieszczono tam też zarządzenia Rektora w sprawie opisu przedmiotu w Uniwersyteckim Katalogu Przedmiotów oraz przewodnik „Sylabus krok po kroku”.

Jeśli nie wprowadzimy sylabusów w takiej postaci jak to zostało zaplanowane, to nie mamy co marzyć, że nasza uczelnia otrzyma swobodę kształtowania programów studiów



Ważne jest, aby nasze opisy efektów uczenia się mogły być porównywane z opisami w innej uczelni, także zagranicznej. Cały proces wprowadzenia Krajowych Ram Kwalifikacji ma znaczenie międzynarodowe, ma służyć mobilności studentów i absolwentów. Chodzi o to, żeby nasze dyplomy były uznawane za granicą, żeby nasz absolwent mógł tam kontynuować studia na właściwym poziomie nauczania, a także żeby mógł dostać odpowiednią pracę, która uwzględni jego kwalifikacje uzyskane w Polsce. Po to są Europejskie Ramy Kwalifikacji. Żeby łatwiej było porównywać te kwalifikacje, wprowadza się pewien język. Nie jest on może bardzo ściśle narzucony, ale warto dążyć, żeby opisy miały podobną formę. Wtedy łatwiej będzie stwierdzić, że osoby, które ukończyły studia na dwóch różnych uczelniach, mają takie same kwalifikacje.

Jeśli zaś chodzi o kategorię „postawy”, to obecnie ministerstwo zamieniło ją na „inne kompetencje”, ponieważ zauważono, że „postawy” źle się kojarzą naszemu społeczeństwu. Ale szczerze mówiąc, tak naprawdę chodzi właśnie o postawy. Misja naszego Uniwersytetu wskazuje, że mamy kształtować elitę społeczeństwa, więc może warto się zastanowić, kim powinna być ta elita, jakie wartości powinna doceniać i czy my, poprzez swoje zajęcia, kształtujemy te wartości. Ja jestem przekonana, że tak, np. gdy uczymy młodzież metodologii badań naukowych, to podkreślamy, że przedstawiane wyniki badań muszą być rzetelne i wiarygodne. Przy pisaniu prac tępiemy ściąganie i nie dopuszczamy do plagiatu, czyli chronimy własność intelektualną innych ludzi – to też jest postawa. Ja prowadzę zajęcia m.in. na temat promieniowania jądrowego i staram się wytłumaczyć studentom, jakie są zalety związane z wprowadzeniem energetyki jądrowej, a jakie związane z tym niebezpieczeństwa, oraz że warto pokazywać innym, że energetyka jądrowa jest w gruncie rzeczy bezpieczna i niesie wiele korzyści dla społeczeństwa. To też jest kształtowanie postaw.

Ale mimo wszystko te wymogi formalne, nawet jeśli uzasadnione, sprawiają, że przygotowanie sylabusu jest bardzo czasochłonne. Pojawily się głosy, że niektórzy wykładowcy mogą przerzucić tę pracę na swoich doktorantów. Wtedy cały proces stanie się fikcją.

M. K-H.: Postawa każdego z pracowników jest bardzo istotna. Jeśli ktoś prowadzi badania naukowe i ma napisać publikację mówiącą o ich wynikach, to najpierw musi badania zaplanować, potem przeprowadzić, przeanalizować wyniki a dopiero na końcu napisać tekst. Dydaktyka, która jest przecież bardzo istotnym elementem pracy nauczyciela akademickiego, też musi być przemyślana, zaplanowana, a zapis musi być w jakiś sposób sformalizowany. Nie możemy mówić, że szkoda nam czasu albo że to jest zbędny wysiłek. Trzeba jeszcze pomyśleć o tym, że sylabus jest zestawem informacji ważnym dla studenta. Jeżeli pracownik podejmuje się prowadzenia zajęć, to po to, żeby studenta nauczyć, a więc pewne warunki z tym związane muszą zostać spełnione. Czasochłonne nie jest samo napisanie sylabusu, tylko zastanowienie się nad efek-

tami uczenia się i nad metodami ich sprawdzania, ale to jest chyba rzecz, do której – jako pracownicy uczelni takiej klasy jak nasza – powinniśmy być zobligowani.

Informacje zawarte w sylabusie pomogą studentowi nie tylko dobrze wybrać zajęcia, ale także dobrze je wykorzystać. Wszyscy wiemy, że problemem jest to, że wielu studentów nie chodzi na wykłady, przyznają to nawet przedstawiciele samorządu podczas posiedzeń Senatu. Jeżeli student będzie wiedział, że sposobem zaliczenia zajęć będzie przygotowanie prezentacji z tego, czego się dowiedział na wykładzie, to będzie to dla niego dodatkowa motywacja. Gdy student wie, co ma osiągnąć, to będzie się starał do tego powoli, stopniowo dochodzić.

Mówi Pani Rektor o korzyściach dla studenta, wcześniej wspominała o korzyściach dla uczelni. Ale uniwersytet to także wykładowcy, a wielu z nich traktuje wypełnienie nowego sylabusu jak karę.

M. K-H.: Korzyści z wprowadzonych zmian dla pracownika są takie, że uczy świadomie. Wie wcześniej, czego będzie uczył, ma czas by zaplanować logiczne ułożenie treści kształcenia, co nie oznacza że nie może improwizować, pojawiają się przecież ciągle nowe tematy. Poza tym, mając kontakt z różnymi studentami, wiemy, że przekazanie wiedzy niektórym osobom wymaga od nas znacznie więcej pracy. Zastanowienie się i zaplanowanie takich działań jest dla każdego z nas obiektywnie bardzo korzystne. Nie przygotowujemy zajęć w ostatniej chwili, piętnaście minut przed ich rozpoczęciem, lecz planujemy je z półrocznym wyprzedzeniem. A może się okaże, że wpadnie nam jeszcze jakiś pomysł do głowy na urozmaicenie zajęć – wykorzystanie filmu lub innej inspiracji dla studentów, w ostatniej chwili nie dałoby się tego zrobić, bo nie byłoby na to czasu, a tak mamy możliwość, żeby wcześniej to przemyśleć. Mamy też możliwość zastanowić się nad efektywnymi i zróżnicowanymi metodami oceny osiągnięć studenta.

Poza tym myślę, że korzyści dla pracownika są takie same jak dla uczelni, czyli możliwość tworzenia własnych programów. Jeśli nie wprowadzimy sylabusów w takiej postaci jak to zostało zaplanowane, to nie mamy co marzyć, że nasza uczelnia otrzyma swobodę kształtowania programów. Ustalone zostaną dla nas wąskie ramy, w których będziemy musieli pozostać. A przecież już teraz widać, że standardy stanowią dla nas pewne okowy. Staramy się je omijać, tworząc kierunki unikatowe, studia interdyscyplinarne, międzykierunkowe, ale tak naprawdę moglibyśmy się bez tego wszystkiego obejść, robiąc studia według własnych pomysłów i zatwierdzając je przez Senat. Ponadto fakt, że coś jest spisane w sylabusie oznacza, że jest naszą własnością intelektualną. Jeśli pracownik się zorientuje, że na jakiejś innej uczelni jest dokładnie taki sam wykład, jaki on przedstawił, wtedy uczelnia – jako właściciel programu – może wystąpić w jego obronie i wytoczyć proces. To wszystko są korzyści nie tylko dla uczelni, ale i pracownika.

STWORZYĆ POMNIK CHOPINOWI

Ewa Perlińska

Na początku maja ponownie otwarto dla zwiedzających muzeum w Żelazowej Woli. Program renowacji objął „dwór” i jego wnętrze, a także całe założenie parkowe. W ten sposób udało się stworzyć nowoczesny obiekt na miarę XXI wieku. Należy jednak podkreślić, że wykonane w parku nowe struktury architektoniczne w znaczący sposób zmieniły dawną koncepcję przestrzeni. Te właśnie ingerencje zmuszają do refleksji i przypomnienia, jak wyglądały pierwotne koncepcje stworzenia panteonu narodowego w Żelazowej Woli.

Historia „dworu”

Teren majątku Żelazowa Wola od przełomu XVIII i XIX w. należał do rodziny Skarbków. Mikołaj Chopin, ojciec Fryderyka był wychowawcą dzieci Skarbków. Tu poznali się rodzice Fryderyka i tu przyszedł na świat w 1810 roku. Od ślubu do momentu wyprowadzki do Warszawy na jesieni 1810 roku państwo Chopinowie zajmowali lewą oficynę. Jeszcze w latach młodości Fryderykowi zdarzało się kilkakrotnie gościć w miejscu narodzin, a także koncertować w parku.

Przemarsz wojsk napoleońskich doprowadził do pożaru dworu, a Skarbkowie przenieśli się do prawej oficyny. W ten sposób do I wojny światowej jedynymi obiektami mieszkalnymi były dwie oficyny. Majątek kilkakrotnie zmieniał właścicieli. Jednym z nich był Adam Towiański, który pierwszy dostrzegł w lewej oficynie „pamiątkę po genialnym muzyku” i chciał stworzyć w niej kaplicę. Kolejne próby uhonorowania miejsca podjęto z inicjatywy rosyjskiego kompozytora Milija Bałakiriewa, ostatecznie uwiecznione ustawieniem pomnika – obelisku projektu Bronisława Żochowskiego w 1894 roku¹.

Po 1918 roku zniszczona prawa oficyna znikła, a resztki majątku rozparcelowano między trzech gospodarzy. Popadającą w coraz

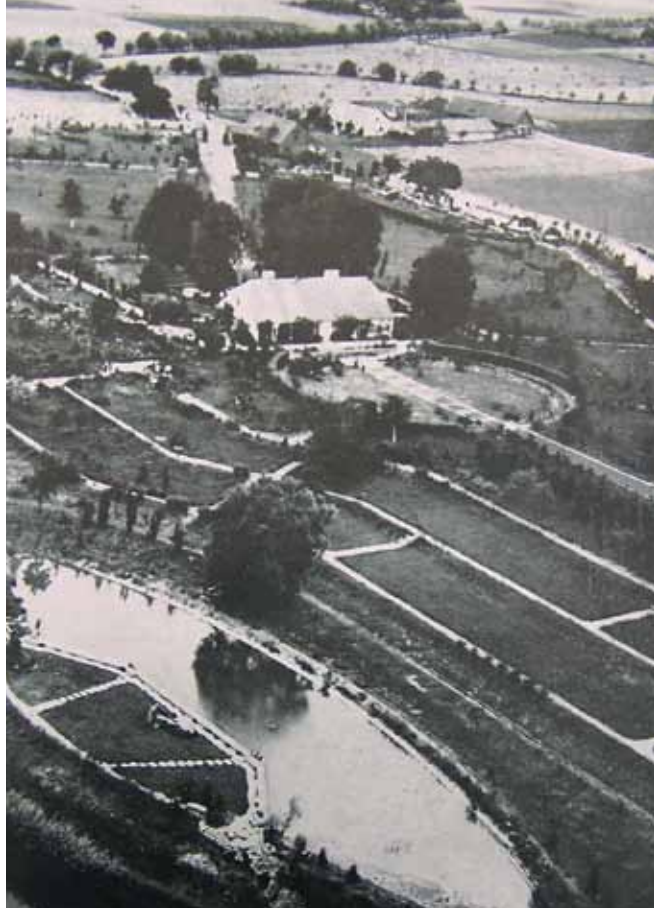
większą ruinę oficyną Chopinów w 1925 roku zainteresowali się ziemianie sochaczewscy. W celu jej ratowania założyli Komitet Chopinowski, w Warszawie natomiast powołano Towarzystwo Przyjaciół Dworu Chopina. Po długich negocjacjach udało się wykupić część terenu. Aktywne działania powołanego w Sochaczewie Komitetu Odbudowy Domu Chopina doprowadziły do zainteresowania sprawą władz państwowych. W 1930 roku prezydent RP objął patronat nad projektem, a Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego wsparło finansowo odbudowę. W celu dalszej zbiórki pieniędzy utworzono Komitet Dni Chopinowskich kierowany przez gen. Kazimierza Sosnkowskiego².

Przed przystąpieniem do robót wykonano szereg badań konserwatorskich pod okiem dr. Rokowskiego. Ostatecznie w latach 1930-31 wykonano restaurację, której zamiarem było odtworzenie dawnego wyglądu budynku. Oficyna uzyskała formę dworku z kolumnowym gankiem, opaski okienne i gzymsy, a także dach naczółkowy kryty gontem. Z perspektywy wydaje się, że niedostateczna liczba materiałów ikonograficznych, a także kolejne przebudowy utrudniały odtworzenie stanu pierwotnego. Fakt ten wpłynął na nadanie oficynie charakteru dworku, którego prawdopodobnie nigdy nie miała. Można mówić w tym wypadku o swoistej ideologii stworzenia „domu pamiątkowego” poprzez zabieg dobudowania portyku podnoszącego rangę budynku. Dwór polski był nośnikiem idei polskości, tradycji szlacheckiej i niepodległościowej, stąd też w dwudziestolecie często sięgano do tego wzorca w architekturze rezydencjonalnej. Podobnie uczynił Kazimierz Skórewicz projektując w Sulejówku dom dla Marszałka Piłsudskiego właśnie w formie dworkowej.

Po wykonaniu prac budowlanych przy oficynie przystąpiono do kolejnych etapów stworzenia muzeum pamiątek po Chopinie.



Park projektu F. Krzywdy-Polkowskiego, „Architektura i Budownictwo”, 1938 r.



Do tego przedsięwzięcia zatrudniono wielu sławnych artystów. Naczelne zadanie przejęła sekcja Urzędu Żelazowej Woli, do której powołano profesora Lecha Niemojewskiego odpowiedzialnego za stronę projektową. Jako konsultanci w sekcji działali także m.in. profesorowie Politechniki Warszawskiej Rudolf Świerczyński i Zygmunt Kamiński. W ramach działalności sekcji Niemojewski zaprojektował w 1936 roku wyposażenie pokoju muzycznego, na które składały się cztery kanapy dwusiedzeniowe, jedna kanapa trzysiedzeniowa, pięć taboretów i stoliki. Komplet wykonano na zamówienie w drzewie brzoźowym mazerowanym. Tapicerkę – tkaniny lniano-jedwabne powierzone Spółdzielni Artystów Plastyków ŁAD. Umieblowanie sprowadzano także z antykwariatów, powoli zapelniając pokój. Uzupełnieniem wnętrza miały być dzieła przedstawiające kompozytora; w pokoju muzycznym Niemojewski planował umieścić kopię portretu Chopina pędzla Delacroix. Do kolejnych pomieszczeń przeznaczono maskę wykonaną w marmurze, według odlewu z Muzeum Narodowego, zamówioną u Alfonsa Karnego oraz odlewy gipsowe popiersi Chopina z muzeum Czartoryskich w Krakowie³. Całość działań w Żelazowej Woli w dwudziestolecie miała wyrażać nacjonalistyczny charakter była wyrazem potrzeby pielęgnacji i uwznioślenia pamiątek narodowych. Zabiegi te są widoczne w działaniach zarówno społeczności lokalnych, jak też władz nowo powstałego państwa dążącego do podkreślania ciągłości historycznej.

Pomnik z natury

Najtrwalszym, a także najciekawszym pod względem artystycznym przedsięwzięciem wykonanym w dwudziestolecie międzywojennym było zagospodarowanie terenu dookoła oficyny o powierzchni ok. 7 ha. Zadanie to powierzono profesorowi Franciszkowi Krzywdzie-Polkowskiemu. Ten pedagog Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego, a także kierownik Katedry Projektowania Wnętrz i Krajobrazu na Wydziale Architektury PW należał do największych autorytetów w dziedzinie planowania ogrodów. Z wykształcenia

architekt w swoich projektach łączył geometryzację i rytmikę elementów przestrzennych ze swobodnie kształtowaną roślinnością. Park w Żelazowej Woli stał się pierwszym wyzwaniem nie tylko teoretycznym, ale i praktycznym dla Polkowskiego. Projekt przewidywał ukształtowanie parkowe wokół oficyny, dojazd od frontu, estradę na festiwale muzyczne, schron dla turystów, zabudowania gospodarcze, schronisko dla muzyków (odłożono budowę na później) i małą gospodę. Ostateczny plan zatwierdzono w marcu 1932 roku i od tego momentu realizowano. Dzieło można uznać za niedokończone, gdyż wiele roślin potrzebowało czasu, by rozwinąć się i dać oczekiwany efekt. Tymczasem działania II wojny światowej przerwały opiekę nad ogrodem, który szybko uległ dewastacji.

Architekt postanowił wykonać projekt odchodzący od historycznych rozwiązań stosowanych w epoce Chopina. Wynikało to z braku jakichkolwiek śladów dawnego parku poza gazonem na osi wjazdu do nieistniejącego dworu. Majątek zatopiony w mazowieckim krajobrazie w dolinie Utraty, z Puszcza Kampinoską w tle, zachęcał do stworzenia parku jako kontynuacji otaczającej natury. W latach 30. w projektowaniu terenów parkowych powrócono do idei płynnego łączenia domu z ogrodem i miejscowym krajobrazem, w ten też sposób starał się planować Krzywda-Polkowski.

Park miał prowadzić „pielgrzyma” do domu, umożliwiając jego powolne odkrywanie, wpływając na rozwój doznań artystycznych i uczuciowych. Jak pisał projektant: „Ułożyć tak drogę dojazdową (...) by ta biec mogła przestrzeń dłuższą, odsuwając przeto więcej w głąb dworek, a tym samym potęgując i wytwarzając atmosferę właściwą pamiętce tej, przygotowując i nastrojając stopniowo na właściwy ton psychiczny widza”⁴. Podstawą założeń było podniesienie w sensie konstrukcyjnym i moralnym oficyny tak aby stała się punktem centralnym założenia. Efekt ten udało się uzyskać poprzez kilka strategii wizualnych. Budynek obniżono od strony południowej, od strony północnej stworzono tarasy schodzące w stronę rzeki, efekt monumentalizacji uzyskano za pomocą pergoli z pnąciami.

Na park składało się 6 tys. drzew i krzewów, niezliczone ilości kwiatów rozkwitających feerią barw, a także architektura ogrodowa: pergole, tarasy kamienne, ścieżki, altany, bramy, mostki. W pełni wykorzystano też możliwości plastyczne zbiorników wodnych. Od strony podjazdu dawny gazon z obeliskiem zastąpiono oczkiem wodnym mającym odbijać w tafli oficynę. Taras na tyłach budynku sprowadzał po schodach do miejsca dla widzów i estrady, a także ku wybrzeżu i przerzuconemu przez Utratę mostkowi. Na niewielkim pagórku usytuowano tzw. mauzoleum Chopina. Spacer po alejkach otwierających co i rusz nowe widoki na ogród doskonale uwidaczniał celowość całej kompozycji i brak przypadkowości nawet przy sadzeniu pojedynczych roślin.

Założenie Żelazowej Woli miało charakter pamiątki historycznej stąd też wszelkie działania artystyczne na jej terenie prowadziły do podniesienia jej wartości estetycznych. Park stał się czymś więcej niż oprawą domu, był to swoisty pomnik wystawiony kompozytorowi. Oddawał wrażliwość, w której przeszłość, krajobraz i twórcze dzieło człowieka spłatały się w jedność. Już współcześni krytycy dostrzegali wyjątkowość koncepcji Franciszka Krzywdy-Polkowskiego, a entuzjaści podkreślali, że ogród pozwalał usłyszeć muzykę Chopina w naturze. Dziś dzieło to można porównać jedynie z nastrojowym rozwiązaniem otoczenia dworu Piłsudskich w Żuławie wykonanym przez Romualda Gutta w 1935 roku.

¹ K. Hugo-Bader, O dawnej i nowej Żelazowej Woli, „Chopin” 1937, nr 1, s. 2-10. ² Żelazowa wola dawniej i dziś, „Kurier Warszawski” 1932 nr 286, 16 X, s. 15-16. ³ Materiały Lecha Niemojewskiego, nr inw. III-67, syg. 88, s. 60-71 Warszawa, Archiwum PAN, ⁴ F. Krzywda-Polkowski, Park w Żelazowej Woli, „Chopin” 1937, nr 1, s. 17.

DŹWIĘK DZWONÓW NIESIE SIĘ NIE CAŁKIEM CZYSTO

Komentarz historyka do tragedii

Marcin Kula

Tragedię i pogrzeb trudno komentować – właśnie dlatego, że są tragiczne. Angażują uczucia zarówno osób bezpośrednio dotkniętych, jak – często – postronnych. Prowadzenie chłodnej refleksji może być odczuwane wręcz jako profanacja, nawet jeśli byłoby to sprzeczne z intencją autora, też przecież wstrząśniętego tym, co zaszło.

Pozostaje faktem, że tragedie w historii zdarzały się, a historyk nie może abstrahować od nich w swojej pracy. Jest prawdą, że najczęściej pochyla się nad nimi z większego dystansu czasowego niż może to uczynić w wypadku katastrofy pod Smoleńskiem. Historycy powinni jednak obejmować swoimi działaniami także współczesność i tworzyć historię współczesności. Kłopot w tym, że w odniesieniu do współczesności najtrudniej jest oddzielić rolę zawodową od roli człowieka uwikłanego w rzeczywistość.

Trudność historyka płynie też z pewnego zamazania obrazu w momencie tragedii. Niby wszyscy mówią jednym głosem. Częściowo rzeczywiście tak mówią, bowiem w każdej tragedii występuje warstwa oczywista, wywołująca współczucie niezależnie od poglądów. Częściowo wszyscy mówią podobnie, gdyż w momencie żałoby trudno się wyłamywać, polemizować. Co nie najmniej ważne, w momentach tragedii myśli się bardziej o człowieku niż o polityce.

Wszystko to stanowi jednak sytuację krótkotrwałą, a pozory niestety często mylą. W świetle doświadczeń refleksji nad przypadkami masowej żałoby mam wątpliwości co do czystości przedstawiania tego, co przeżyliśmy, w części przekazów. Mam wrażenie, że w tle żałoby nadal toczyła się walka o pamięć – i o współczesność.

Od pierwszych chwil pojawiały się w żałobnych obchodach akcenty, których po prostu nie rozumiem. Część opinii nadal jakby prowadziła grę „moje na wierzchu” – nie zważając na majestat śmierci. Od początku podniosły się głosy, że masowa manifestacja żałoby była wyrazem uczuć dla zmarłego Prezydenta. Film Ewy Stankiewicz i Jana Pospieszańskiego „Solidarni 2010” stawiał kropkę nad „i” już w swoim tytule; należało go chyba odczytywać jako stwierdzenie, iż zjednoczony naród polski jest solidarny ze zmarłym Prezydentem. W pewnym sensie z pewnością tak było; ludzie przyszli pod Pałac, by uczcić Prezydenta oraz wszystkich Zmarłych. Sprawa zdawała mi się i zdaje jednak bardziej skomplikowana. Śmierć wielkich postaci zawsze przyciąga masy ludzi. Nagle okazuje się, że owych wielkich też może spotkać nieszczęście. Nie przyrównując, nawet prywatne kłopoty ludzi postawionych wysoko w hierarchii społecznej wywołują zainteresowanie m.in. dlatego, że okazuje się, iż oni też mogą doświadczać trudności np. w życiu osobistym. Współczując im, zbliżamy się do nich. Czujemy się równoprawni. Patrzymy na ofiarę i myślimy: „Taki potężny, a też zginął w absurdalnym wypadku!”.

Samo masowe zgromadzenie przyciąga ludzi. W dzisiejszym, atomizującym świecie, ludzie łakną wspólnoty. Taką jest przyczyna licznego uczestnictwa w masowych, otwartych imprezach artystycznych, czy, równie dobrze, wizyt w galeriach handlowych. W wypadku składania kwiatów zmarłym czysty i szlachetny cel wzmacnia motywację skłaniającą do bycia razem. Taki jest też dodatkowy mechanizm, mobilizujący nas do pójścia na cmentarze 1 listo-

pada. W końcu do grobów bliskich można udać się dowolnego dnia i wielu z nas tak czyni. Na ogół idziemy jednak też wtedy, kiedy „wszyscy” idą. Ludzkie uczucia muszą znaleźć ujście w tym coraz lepiej zorganizowanym, zautomatyzowanym i bezosobowym świecie. W zindywidualizowanym świecie trzeba poczuć się jedynymi z wielu, członkami narodu, obywatelami kraju... A więc przyjąć na Krakowskie Przedmieście, by wspólnie odczuć nieszczęście i tragedię. By postawić świeczkę. Ogień jest symbolem życia. Dlatego, działając oczywiście spontanicznie, nie przez głęboki namysł, stawiamy świeczki zarówno na torcie urodzinowym, jak na grobach.

W świecie bardzo mocno zachwianych wartości ludzie odczuwają potrzebę zakotwiczenia się. Śmierć jest jednym z już niewielu zjawisk, których znaczenie i symbolika nie zostały podważone. Nawet jeśli śmierć też może wywołać różne spekulacje, spory, czy kłótnie, to jest w tym zjawisku niepodważalna warstwa dzielona praktycznie przez wszystkich. Tylko ktoś obciążony patologią mógłby nie dzielić bólu śmierci. Tragedia wywołuje uczucia jednoznaczne i uwspólnia doświadczenie. Tragiczna, bezsensowna śmierć jest szczytem jednoznaczności, a dzielone współczucie jest najbardziej oczywiście wspólnym. Będąc członkiem narodowej wspólnoty – żegna się własnego prezydenta.

Śmierć oczywiście nieraz odsłania prawdziwego człowieka. Nieraz w takim momencie, patrząc wstecz, orientujemy się, że nie doceniliśmy kogoś, że nie wykorzystaliśmy możliwości kontaktu z nim, nie zrozumieliśmy jego wielkości. Śmierć eliminuje jednak też negatywne cechy zmarłego, każe pamiętać o tych lepszych. W ramach naszych uwarunkowań kulturowych, jeśli w pierwszych dniach po śmierci nawet pomyślimy o złych cechach osoby zmarłej, to najczęściej szybko eliminujemy takie myśli. Tylko chory człowiek zgłaszałby pretensje wobec zmarłego przy jeszcze nie pogrzebanej trumnie. Śmierć wydobywa lepsze cechy zmarłych.

Zszokował nas ogrom katastrofy i jej forma. Zawsze robią okropne wrażenie katastrofy, w których w momencie wypadku człowiek jest skazany bezapelacyjnie; kiedy nie ma żadnych szans, a giną wszyscy. Taka jest zaś najczęstsza cecha wypadków lotniczych, czy powiedzmy, katastrof okrętów podwodnych. Możemy wiele razy usłyszeć, że komunikacja lotnicza jest relatywnie bardzo bezpieczna, a i tak wchodząc do samolotu będziemy się obawiać bardziej niż siadając do własnego samochodu i uczestnicząc w ruchu drogowym razem z licznymi chuliganami kierownicy. Ewolucja technologiczna sprawia, że jest coraz więcej katastrof wielkich i takich, gdzie nie ma ucieczki od śmierci. W dawnych czasach nawet zaraza, która zwykle powodowała bardzo dużo ofiar, działała stopniowo i pozostawiała jakieś szanse na ratunek. Wielkości wrażenia sprzyja też obecna szybkość rozchodzenia się informacji, jej docieranie do wszystkich zakątków świata i błyskawiczne echa zewsząd. Dawniej, nim nawet dramatyczna wiadomość dotarła daleko, sprawa najczęściej już dawno minęła. Docierała zresztą w różne miejsca w różnym czasie.

Od początku podniosły się głosy, że masowa manifestacja żałoby jest wyrazem prawdziwych uczuć polskiego ludu dla zmarłego Prezydenta – odmiennych od uczuć tych okropnych elit. Otóż mam zasadnicze wątpliwości do takiego stanowiska. Zawsze byłem

bardzo krytyczny wobec Zmarłego (także wobec jego „polityki historycznej”). Zachowuję swój krytycyzm. Uważam, że była to słaba prezydentura, o bardzo dyskusyjnych posunięciach. W moim przekonaniu Prezydent nie sytuował się jako prezydent wszystkich Polaków. Poszedłem na Krakowskie, by skłonić się przed majestatem śmierci, by dać wyraz dzieleniu z innymi wstrząsu absurdalnością tej katastrofy i liczbą jej ofiar, by być ze wszystkimi, by oddać hołd zmarłej Głowie Państwa – niezależnie od jej oceny. Nie przypuszczam, ażeby był jedyny w mojej postawie.

Idea, że prości ludzie – w odróżnieniu od elit – rozumieli Prezydenta, czemu w końcu mogli dać wyraz, jest wątpliwa z każdego punktu widzenia. Po pierwsze nie jestem pewien, czy ma sens taki wyraźny podział na „lud” i „elity”. Po drugie nigdzie nie jest powiedziane, że media (część elit?), nawet jeśli nie były admiratorami Prezydenta, jednak kogoś nie reprezentowały. Środki masowego przekazu są w Polsce podzielone – co nie jest zresztą dziwne w demokratycznym kraju. Może to nie media (elity?) niszczyły Prezydenta, a stosunek ludzi doń był zróżnicowany – co znajdowało wyraz w mediach.

Jest oczywiście prawdą, że pod Pałac przychodziło bardzo wielu ludzi nie zaliczających się i niezaliczanych do elit. Czy naprawdę przychodzili jednak oni wyrazić uznanie polityce Zmarłego? Przypuszczam, że z politycznej sylwetki Prezydenta ludzie znacznie bardziej masowo niż przedtem zwrócili uwagę na takie cechy, które są elementami rozlicznych populizmów, a które sam Zmarły akcentował: miłość rodzinna, patriotyzm bardzo potocznie rozumiany, przywiązanie do historii Polski też rozumianej raczej nieskomplikowanie. Ludzie zwrócili uwagę na postawę ich obrońcy, jaką Zmarły wyrażał choćby w sloganie „Polska solidarna”. Może nawet w przyjęciu pod Pałac wyraziła się sympatia dla „antypolityki” (jak miało miejsce w wypadku światowej reakcji po śmierci księżny Diany). Na taki obraz jest zapotrzebowanie. Na tle coraz częstszych złych notowań polityków chce się choć raz zobaczyć polityka jako dobrego człowieka, a zmarły nadaje się jako ucieleśnienie takiego obrazu lepiej niż żywa postać.

W stosunku do osoby tragicznie zmarłej obraz dobrego prezydenta, przyjaciela ludzi, niezrozumianego, wręcz atakowanego

przez moźnych tego świata, rodzi się łatwo. Nieraz narodził się już zresztą w różnych sytuacjach w historii (śmierć Evity Perón, żony prezydenta Argentyny w 1952 r.; śmierć prezydenta Brazylii Getulio Vargasa w 1954 r.). W wypadku śmierci Bolesława Bieruta w 1956 r. wielu ludzi nawet podejrzewało, że komunistyczny przywódca został zabity w Moskwie („Pojechał w futerku, a wrócił w kuferku”) i tym naturalnie oddawało mu cześć.

W takich sytuacjach łatwo dochodzi do utożsamienia uczestników żałoby z postacią, która odeszła. W wypowiedziach zarejestrowanych w filmie Ewy Stankiewicz i Jana Pospieszalskiego wyczuwało się wątek: mówiono o nas, że jesteśmy głupi, że jesteśmy „moherowymi beretami”, okłamywano nas w badaniach opinii, przedstawiano naszego prezydenta jako głupiego. W takich zdaniach indagowani faktycznie mówili zarazem o Prezydencie i o sobie samych¹. Była to postawa akcentowana bardzo silnie w filmie np. w formie wypowiedzi:

„Wmawiali nam, że 70% źle ocenia prezydenta. Minęło parę godzin i 70% w drugą stronę. Jesteśmy tak zakłamani, czy tak manipulowani i to od kilku lat”;

„Premier nas wyzywał od moherów, tak nas nazwała część Solidarności, która to zawłaszczyła”;

„Obrażając prezydenta, obrażano naród polski, naród się obudził”;

„Prezydent nie [był prezydentem] ludzi starszych, niedouczonech. To był prezydent ludzi, którzy kochali Polskę”.

„Wielki patriota, który był szkolowany i ośmieszany”;

„Walczył o to, o co walczyła pierwsza Solidarność”;

„Wyście go zaszczuli. Mam nadzieję, że to się zmieni, przestaniecie kłamać”.

Nie wiemy jednak, jaki był rozkład poglądów w masie ludzi nawet przed Pałacem. Rozmówcy Ewy Stankiewicz i Jana Pospieszalskiego oczywiście nie zostali wymyśleni. Wiele Polaków ma zapewne właśnie takie poglądy. W końcu wielu głośniejsze na PiS. Nie mam wątpliwości, że ktoś popierał zbiór idei przedstawianych pod nagłówkiem „IV RP”. Film najpewniej odzwierciedla mentalność niebagatelnej części narodu, poczynając od samych twórców (też część narodu!) i pewne trwałe nurty myślenia. Niemniej jednak ci,



Dni żałoby narodowej, fot. M. Baj, PFP UW

k którzy występowali w filmie, nie byli dobierani według zasad próbkii reprezentatywnej. W tłumie znajdowali się nie tylko tak myślący – poczynając od mojej skromnej osoby. Zastanawia mnie też, czy dlatego, że wielu ludzi najpewniej myśli w sposób przytoczony, to część elit (zostaliśmy już przy tym podziale!), która krytykowała Prezydenta, nie miała racji. Nie mogę zaakceptować zdania któregoś z polityków, że naród potrzebuje mitów, a skoro elity polityczne powinny służyć narodowi, to powinny zgodzić się z rodzajnymi się mitami; że masy okazały się mądrzejsze niż ci intelektualści, którzy byli przeciw złożeniu trumny na Wawelu².

Podniosły się głosy, że ci, którzy krytykowali Prezydenta, powinni paść w ekspiacji na kolana. Szczerze mówiąc, nie rozumiem dlaczego. Chyba każdy i zawsze może skłonić się przed trumną. Nie rozumiem w ogóle pojawiającego się wątku, że Prezydent był za życia zaszczuwany (a przecież był taki dobry i miły!). Że stosunek przeciwników i wielu środków masowego przekazu do niego był okropny. Jest to wątek dawny, podnoszony chyba od początku kadencji. Trudno nań odpowiedzieć, jeśli nie chce się zajmować postawy cenzora wobec tragicznie Zmarłego. Trudno też odpowiedzieć, jeśli nie chce się podejmować polemiki na wzór chłopców, którzy kłócą się, który pierwszy uderzył. Nie mogę jednak uniknąć powiedzenia, że w moim przekonaniu było akurat odwrotnie. Odnosiłem wrażenie, że to PiS był najczęściej agresywny i mało elegancki wobec przeciwników. W obliczu tragedii możemy zawiesić polemikę „kto uderzył pierwszy”. Zawiesimy ją jednak z obu stron.

Razi mnie sytuowanie tragedii smoleńskiej w martyrologiczno-bohaterskim ciągu historii Polski. W trakcie żałoby pojawiał się akcent nieustającej ciągłości nieszczęścia i walki w dziejach kraju. Nie jest to wątek nowy, a ma szanse zostać obecnie umocniony, wręcz zmitologizowany przez katastrofę. Było oczywiście jakimś piekielnym zrządzeniem losu, że zginęli – i to tam – ludzie lecący po to, aby uczcić tych, którzy zginęli. W większej skali to wydarzenie przebiegło tak, jak dzieje się, gdy ulega fatalnemu wypadkowi człowiek spieszący na pogrzeb bliskiej osoby. Niemniej jednak plakat, w którym pod nazwą „Katyń” zestawiono daty 1940 i 2010, był, moim zdaniem, nadużyciem. Puszczanie w tych dniach w telewizji, jako tła dla przedstawianych wydarzeń, piosenki „Warszawskie dzieci pójdziemy w bój...” było dyskusyjne, podobnie jak nadawanie krypcie prezydenckiej na Wawelu nazwy „Katyńska”. Pisanie „bohaterowie” o Zmarłych jest nieestosowne. Plakat, na którym przedstawia się Prezydenta jako bohatera, jest bezsensowny („Za prawdę, honor i godność Polaków złożył najwyższą ofiarę”). Czy nie wystarczyłoby stwierdzenie, że Zmarły stał się godną najsłabszego współczucia ofiarą tragicznego wypadku lotniczego? Mówienie „męczennicy” o Zmarłych też jest nieestosowne – chyba, że używamy tego słowa w tym sensie, w jakim ofiara każdego strasznego wypadku staje się męczennikiem.

Bohaterska i martyrologiczna jest jednak najczęstsza forma recepcji historii w Polsce. Lansując swoją „politykę historyczną”, sam Prezydent taką formę najpewniej z przekonaniem kultywował, ale też wiedział, że ma ona szanse dobrze zbilansować się politycznie dla jego środowiska – i chyba nie mylił się. Tragiczna śmierć umocniła tę wizję. Pojawił się obraz, że Prezydent walczył o prawdziwą Polskę i w trakcie walki zginął. Przez znaczącą część opinii Prezydent zostanie zapamiętany jako walczący o prawdę historyczną. Jego śmierć wpisze się w narodową martyrologię i tym samym umocni sylwetkę człowieka walczącego w niekończącym się szeregu Polaków zmagających się z dziejowym losem. Stratedzy polityczni zgadzają się w tym wypadku z masą ludzi. Cała walka, ażeby centralne obchody rocznicy Katynia zrealizowały się pod egidą Prezydenta, była fragmentem działania w kierunku umocnienia jego sylwetki jako bojownika o Polskę i o pamięć. Późniejsze zdania z początku kampanii wyborczej, iż trzeba dokończyć dzieło zmarłych patriotów, sugerują, iż walka trwa, a na jej szlaku zaistniał kolejny dramat: Smoleńsk. Katyń, wzmocniony przez Smoleńsk, ma szanse stać się narodowym kamieniem węgielnym (tak, jak niedawno zarysowywano i zarysowano w tej roli Powstanie Warszawskie).

Spontanicznie akcentując ów ciąg martyrologiczno-heroiczny, ludzie, przybywający pod Pałac, od pierwszych chwil żałoby zaczęli ustawiać kwiaty także u stóp Krzyża Papieskiego i przy tablicy inkrustowanej w bruk Placu Piłsudskiego, zaświadczałej miejsce mszy papieskiej z 1979 r. oraz początek ostatniej drogi kardynała Wyszyńskiego (nawiązanie do istotnych epizodów wizji walki o niepodległość!). Pochowanie Zmarłego na Wawelu umocniło wizję bojownika.

Sam nie sprowadzam dziejów Polski do wątku heroiczno-martyrologicznego i do walk, które wciąż trzeba toczyć. Pochowanie na Wawelu, i to obok Józefa Piłsudskiego, perspektywicznie – jak sądzę – przyniesie krzywdę pamięci Zmarłego. Straszna śmierć jest godna oplakania i szacunku, a nie Wawelu. W przyszłości trudno będzie uzasadnić to miejsce. Przecież nie powstanie tam chyba krypta prezydentów. Nawiasem mówiąc, było jakimś żenującym paradoksem, że nikt nie chciał się przyznać do autorstwa myśli o pogrzebie na Wawelu. Czyżby szybko zawahano się nad jej realizacją, a wycofanie się już nie wchodziło w grę?

Nie mogę zrozumieć głębi kompleksów narodowych, jakie obnażyły się przy okazji tragedii. One przejawiają się nie od dziś – wśród członków narodu, który przetrwał zabory, okupację, dominację sowiecką, wyłonił „Solidarność”, doprowadził do godnej dumy pokojowej transformacji (tak, tak!)... To wszystko mogłoby być powodem do dumy, a nie jest. Nawet nieraz spotykana autoreklama okazuje się, gdy poskrobać, pokrywaniem głębszych kompleksów niższości. Ktoś pytany przed Pałacem przez telewizję mówił, że przedtem – nim zobaczył się jako jeden z wielu w tym tłumie – wstydził się mówić po polsku w Europie. Właściwie dlaczego wstydził się? A jeżeli widział jakieś powody, by się wstydzić, to właściwie

Tłumy przed Pałacem Prezydenckim, fot. M. Kaźmierczak, M. Baj, PFP UW



Prof. dr hab. Marcin Kula jest pracownikiem Instytutu Historycznego UW i stałym współpracownikiem naszej redakcji.

dłaczego tragiczne wydarzenie i masowa żałoba miałyby to zmienić? W filmie Ewy Stankiewicz i Jana Pospieszalskiego ktoś mówił w odniesieniu do obecnych pod Pałacem: „To jest ten naród, który się nie wstydzi powiedzieć <<jestem Polką, patriotką>>”. Ktoś inny znów: „Nie [można] zapominać, że mamy polskie korzenie!”. W żałobnych wypowiedziach wielokrotnie dawało się słyszeć, że trzeba ciągle manifestować przywiązanie do polskości, bronić opinii Polski (przeciwko komu? przeciw jakimś kosmopolitom? przeciw niedobrym elitom? przeciw zagranicy, niedoceniającej Polski?). Wielokrotnie wracał motyw, że jest się atakowanym, że trzeba się bronić.

Taka postawa była od dawna mocna w wypowiedziach i myśleniu części opinii. Nasuwa ona myśl nie tylko o kompleksie niższości, ale o manii prześladowczej. Wątek „prawdziwych Polaków” w filmie Ewy Stankiewicz i Jana Pospieszalskiego nie pojawił się, ale w takich wypowiedziach, jak poniższe, chyba byliśmy blisko:

„Myślę, że rząd jest przerażony i przestraszony tym co się stało, że ludzie mają odwagę uzewnętrznić swój stosunek do Polski, do historii, do państwa przede wszystkim”;

„Kiedy ludzie się zbierali w Polsce (przy papieżu, Popiełuszcze), to zaczynało być niebezpiecznie. Chciało się, żebyśmy teraz oglądali seriale. Nawet trumnę do Krakowa powieźli nie na lawecie, żeby ludzie mogli pożegnać, a szybko”;

„Niech pan zobaczy ile nas jest. Jeszcze nie jesteśmy zorganizowani, ale kto wie, niech się zastanawiają ci, co manipulują wszystkim”;

„20 lat temu baliśmy się, że zza rogu wyskoczy ZOMO, a przez te 20 lat palowali nas medialnie”.

Polska z pewnością nie jest idealna. Nie jest jednak krajem w gorszym stanie i o gorszym losie niż mnóstwo innych. Z wątków, jak podejrzywam prawdziwie przekazanych w filmie jako uczucia części ludzi, najbardziej chciałbym zrozumieć, czym tłumaczą się takie kompleksy. Czym tłumaczy się marzenie o jedności wszystkich Polaków w dążeniu do bliżej nieokreślonej, ale szczęśliwej Polski? Nieraz w dziejach pojawiało się takie utopijne dążenie, że w końcu wszyscy będą się miłowali w szczęśliwym świecie, oraz że – nawet za dużą cenę – przyjdzie moment zapanowania dobra. Otóż on nie przyjdzie – ani w Polsce, ani w żadnym kraju. Można się tylko starać, by było więcej dobra, a mniej zła.

W odgłosach smoleńskiej tragedii wracał wątek częsty w odniesieniu do śmierci: dążenie do nadania stracie sensu. Śmierć nieraz jest postrzegana jako ofiara. Wskazuje się, że ofiara nie była daremna. W filmie Ewy Stankiewicz i Jana Pospieszalskiego padają słowa: „Oni zamknęli oczy, byśmy je otworzyli”; „Przyjechałem z nadzieją, że zobaczę tu znów rok 80-ty, że się zmieni Polska”. To bardzo klasyczny wątek. W tym wypadku też pojawiały się nadzieje, że Polacy – powiedzmy w skrócie – staną się lepsi. Prawdę mówiąc, niezbyt rozumiem takie postawienie sprawy. Nie wiem dlaczego sądzić,

że Polacy są źli i muszą być lepsi. W ogóle byłoby warto skończyć z widzeniem narodu jako zjawiska w czymkolwiek szczególnego w porównaniu do innych – ani w tym co dobre, ani w tym co złe.

Nic nie wskazuje też, ażeby po jakiegokolwiek stracie jakiegokolwiek naród zmieniał się w zachowaniach na dłużej niż na tydzień. Nie jestem zwolennikiem kategorii „charakter narodowy”. Jeśli jednak jakieś zachowania są rzeczywiście dziedziczone w drodze dziedziczenia kulturowego, to zmiana ich następuje bardzo powolnie oraz, jeśli w jakimś stopniu następuje, to ma to miejsce pod wpływem znacznie trwalszych bodźców (wojna, okupacja, wielopokoleniowy totalitaryzm).

Ciekawe było zaangażowanie Kościoła katolickiego w celebrowanie żałoby. Myślę, że wynikało ono z czegoś więcej niż z naturalnej w wypadku wierzących potrzeby modlitwy za zmarłych. Prezydent był postacią zapewne bardzo bliską Kościołowi i uznawaną za godną poparcia przezeń (praktykujący katolik, mówiący otwarcie o swojej wierze, człowiek rodzinny, umiarkowany konserwatysta, przeciwnik lewicy, krytykujący PRL-owski komunizm bez niuansów, funkcjonujący w środowisku przeciwnym „Gazecie Wyborczej” i szeroko rozumianym liberałom, opowiadający się za Europą chrześcijańskich wartości, deklarujący swój patriotyzm, zamiłowany w historii). Myślę, że te cechy sylwetki Zmarłego wzmocniły życliwość Kościoła dlań. Wyobrażam też sobie, że Kościół mógł chcieć poprzeć, wręcz wzmocnić instytucję państwa, a tym bardziej państwa funkcjonującego w dużej bliskości z Kościołem. Złożenie trumny na Wawelu – w obrębie symbolu polskiej państwowości i Kościoła zarazem – było tym bardziej naturalne z tego punktu widzenia. W ramach analogicznego myślenia mieściło się też najpewniej – o ile rozumiem ten epizod – przywiezienie spod Smoleńska kawałka samolotowej blachy i umieszczenie go w katolickiej i zarazem narodowej świętości.

Udział Kościoła niewątpliwie zwiększył dostojeństwo ceremonii, nadał im pewien odwieczny rytuał nabożeństwa pożegnalnego. Domyślam się, że większość zmarłych była związana z religią katolicką, a zatem udział Kościoła był naturalny. Doceniam akcenty ekumeniczne w kolejnych nabożeństwach. Między nami mówiąc, chciałbym jednak, by powstał też w Polsce świecki panteon. Żałuję, że w trakcie nabożeństw nie padły słowa symbolicznej prośby, by niewierzący, którzy jednak też mogli znaleźć się wśród zmarłych, traktowali modlitwę nie w jej wymowie religijnej, ale jako głos serca, wypowiedziany przez wierzących w języku im właściwym.

¹ Wszystkie cytaty z tego filmu zostały zaczerpnięte z notatek robionych w trakcie emisji, a zatem mogą być nie w pełni dokładne.

² Zanotowane po wysłuchaniu w masie głosów w telewizji. Wobec niepewności w kwestii dokładności zapisu pomijam nazwisko polityka.



Z KAŻDYM NALEŻY DYSKUTOWAĆ

W połowie maja Uniwersytet Warszawski podpisał porozumienie z Gazpromem i Europol Gazem, dotyczące stworzenia pięcioletniego programu stypendialnego dla doktorantów UW. W pierwszym roku obie spółki ufundują 18 stypendiów, których łączna kwota będzie wynosiła ponad 100 tys. euro. Tuż przed rozpoczęciem uroczystości kilkunastu studentów sprzeciwiających się tej umowie zorganizowało happening. Jedno z haseł umieszczonych na trzymanym przez nich transparentie brzmiało: „Pojednajmy się z Gazpromem, Moskwa znowu będzie domem”.

Miesiąc wcześniej odbył się na UW inny protest. Demonstrantów było co prawda o połowę mniej (czyli około ośmiu), ale transparenty mieli bardziej dopracowane, a i hasła na tyle nośne, że udało im się ściągnąć przed bramę UW chyba wszystkie miejskie redakcje. Protest został zorganizowany z powodu odwołania „konferencji naukowej”, która naukowa była tylko z nazwy, a i z konferencją nie miała wiele wspólnego. Miał w niej wziąć udział jeden prelegent – dr. Paul Cameron, kontrowersyjny wykładowca, usunięty m.in. z Amerykańskiego Stowarzyszenia Socjologicznego i Kanadyjskiego Towarzystwa Psychologicznego za liczne nadinterpretacje i fałszowanie wyników badań. Dr. Cameron zasłynął głównie dzięki wykładom, w trakcie których przekonuje, że homoseksualizm należy zdelegalizować, a homoseksualistów poddać kwarantannie. O wynajęcie sali na wykład zabiegały trzy organizacje studenckie. Kiedy stało się jasne, kto został zaproszony na to spotkanie, prof. Katarzyna Chałasińska-Macukow, rektor UW zdecydowała o odwołaniu wykładu. Parę dni później odbył się wspomniany protest przeciwko „homopropagandzie” i „promocji dewiacji na uczelni”. Co na to pani rektor? – Żyjemy w demokratycznym kraju, każdy może protestować. I to dosłownie „każdy” – pozwolenie na zorganizowanie takiego happeningu można dziś wydać na wniosek osoby prywatnej – odpowiada. I dodaje, że spotkanie z dr. Cameronem mogłoby się odbyć na UW tylko, gdyby uczestniczył w nim też ktoś ze świata nauki i gdyby miało ono formę debaty.

W tym samym miesiącu protestowano jeszcze przeciwko zaproszeniu wybitnego, ale bardzo kontrowersyjnego etyka prof. Petera Singera z Princeton University, a później przeciwko odwołaniu konferencji z jego udziałem.

O protestach i granicach wolności słowa z prof. Henrykiem Samsonowiczem, wybitnym historykiem, rektorem uczelni w latach 1980-82, rozmawia Anna Korzekwa

Przed podpisaniem umowy dotyczącej stypendiów z Gazpromu grupka studentów skandowała przed bramą UW „Pojednajmy się z Gazpromem, Moskwa znowu będzie domem”.

H. S.: A co jest złego w tym hasle? Nie chciałyby Pani, żebyśmy mieli dobre stosunki z Rosją? Jeśli ludzie biegą za pewnym politykiem na ulicy i krzyczą „pilnujcie, żeby go drugi raz nie zabili”, to mamy traktować to poważnie? Chyba najwyższy czas, by podjąć próbę unormowania stosunków nie tylko z naszym zachodnim, lecz także wschodnim sąsiadem.

Miesiąc wcześniej inna grupka studentów protestowała przeciwko odwołaniu wykładu dr. Paula Camerona, który homoseksualistów chciałby poddawać kwarantannie. Może należało zezwolić na ten wykład?

H. S.: Należałoby z nim dyskutować. Tak samo jak należałoby dyskutować z człowiekiem, który uważałby, że gruźlików należy zamykać w obozach koncentracyjnych.

To jeszcze nie koniec tego typu batalii. W konferencji na WPIA o prawach zwierząt miał wziąć udział prof. Peter Singer. Najpierw protestowano przeciwko jego zaproszeniu, później przeciwko odwołaniu wykładu.

H. S.: Nie wydaje mi się, aby temat zaproponowany w dyskusji nie mieścił się w szeroko rozumianych kategoriach dobijania się do prawdy, ale Wydział Prawa i Administracji – jak każdy inny – ma daleko posuniętą autonomię. Co więcej uważam, że autonomia jednostek uczelni musi być utrzymana. Władze uczelni nie mogą przecież decydować o tym, kto ma rację przy badaniu poszczególnych zagadnień dotyczących dziedzin – wszystko jedno – humanistycznych, ekonomicznych, biologicznych czy jakichkolwiek innych.

To każde spotkanie może odbyć się na UW?

H. S.: Co by było, gdybyśmy się nie spierali o wyniki naszych badań, ich interpretacje, nowe propozycje? Różnice poglądów są motorem postępu, niezbędnym elementem życia akademickiego. To jest dobrym prawem uniwersytetu.

Może jednak należy ustalić jakieś warunki brzegowe?

H. S.: Jestem za szeroko rozumianą swobodą dyskusji i wypowiedzi z tym, że ten, kto widzi rzeczy prosto, tylko upraszcza sprawę. Swoboda wypowiedzi nie może być nieograniczona. Jeśli ktoś chciałby zorganizować zebranie, na którym chciałby przedstawić sposoby wymordowania wszystkich osób myślących inaczej, to byłbym przeciw. Te granice wolności wypowiedzi są chyba dobrze obwarowane naszymi tradycjami, naszą etyką, w miarę powszechnymi poglądami.

Rozumiem, że w takim razie można zorganizować na UW spotkanie np. z Jerzym Robertem Nowakiem.

H. S.: Co to znaczy na uniwersytecie? Byłbym przeciwny, gdyby tego typu spotkanie chciały zorganizować władze uniwersytetu. Ale jeśli np. studenci chcieliby się gdzieś spotkać i podyskutować z panem Nowakiem, no to niech się spotykają. Tylko uniwersytet nie może tego firmować.

Tylko gdzie jest ta granica? Protesty we wszystkich tych sprawach spływały do pani rektor. Tak było np. w przypadku zaproszenia dr. Camerona.

H.S.: Ale pani rektor go zaprosiła?

Nie. To była inicjatywa studencka.

H.S.: No więc o co chodzi?!

Wiele osób sądzi, że rektor jest odpowiedzialny za wszystko, co się dzieje na uczelni.

H.S.: Nie, nie jest odpowiedzialny. A jeśli rada wydziału obali habilitację pana X, kto jest za to odpowiedzialny? Rektor?

NIE TAKI TRUDNY PIERWSZY KROK

Izabela Kraszewska

Jeszcze kilka lat temu świeżo upieczeni maturzyści, którzy chcieli dołączyć do grona studentów naszej Alma Mater, musieli stać w długich kolejkach, aby zarejestrować się na UW. Dziś jest to dużo łatwiejsze i szybsze. Nie ma znaczenia, czy ktoś mieszka w Warszawie czy w Zakopanem, wystarczy że ma dostęp do Internetu; kilka kliknięć i logowanie do systemu Internetowej Rejestracji Kandydatów (IRK) zostaje pomyślnie zakończone. – Wiadomo, że każdy ma milion pytań, a dzięki platformie internetowej kandydaci w mgnieniu oka mogą uzyskać odpowiedzi na wszystkie z nich – mówi Michał Wołczaski, student pierwszego roku socjologii.

Odpowiedzialnym za obsługę systemu IRK jest Biuro ds. Rekrutacji. Pracownicy tej jednostki opracowują również projekty uchwał Senatu oraz zarządzeń Rektora dotyczących zasad rekrutacji. Dodatkowo BdR zajmuje się promocją studiów na Uniwersytecie Warszawskim – redaguje oraz rozpowszechnia informatorzy dla kandydatów zarówno z Polski, jak i z zagranicy,

a także organizuje Dni Otwarte na UW, podczas których przyszli studenci mają szansę poczuć akademicką atmosferę i zapoznać się bliżej z ofertą uczelni. Pracownicy BdR biorą również udział w krajowych i zagranicznych targach edukacyjnych oraz współorganizują wraz ze Studium Wychowania Fizycznego i Sportu Turniej o Puchar JM Rektora UW, który jest przeznaczony dla uczniów szkół ponadgimnazjalnych. Uczestnicy zawodów rywalizują ze sobą podczas meczów siatkówki i koszykówki, a ideą przyświecającą tym spotkaniom jest popularyzacja wśród młodzieży aktywnej formy spędzania wolnego czasu. – W tym roku odbyła się druga edycja turnieju. Chcieliśmy pokazać, że Uniwersytet Warszawski to nie tylko nauka, ale także zdrowy styl życia – mówi Mirosława Szewczuk-Patrykont, kierownik biura.

Więcej informacji o działalności BdR znaleźć można na stronie:
www.rekrutacja.uw.edu.pl

GŁOS W DEBACIE

W ostatnich dwóch numerach naszego pisma ukazały się wywiady i komentarze dotyczące „Strategii rozwoju szkolnictwa wyższego w Polsce do roku 2020”, opracowanej na zlecenie Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego przez konsorcjum firmy Ernst & Young i Instytutu Badań nad Gospodarką Rynkową. Na zakończenie tej dyskusji, publikujemy informację przesłaną do redakcji przez MNiSW:

W warunkach postępowania przetargowego związanego z wyborem koordynatora procesu opracowywania projektów sektorowej strategii rozwoju szkolnictwa wyższego do roku 2020 określono wymóg bezwzględny, aby zespoły eksperckie realizujące zamówienie składały się z osób posiadających doświadczenie w zakresie prowadze-

nia badań i analiz dotyczących szkolnictwa wyższego, problematyki gospodarki, rynku pracy, finansów i prawa. Za potwierdzenie posiadania wiedzy i doświadczenia zamawiający uznawał wykonanie w okresie ostatnich 3 lat co najmniej trzech usług w ww. obszarach, każdej o wartości min. 600 tys. zł brutto.

Ostatecznie przetarg wygrało spełniające wszystkie kryteria w najwyższym stopniu konsorcjum Ernst & Young i Instytutu Badań nad Gospodarką Rynkową, w zespole którego również znaleźli się przedstawiciele środowiska akademickiego. Oferta zwycięskiego konsorcjum wyniosła 1.647.000 zł brutto (w tym 297.000 zł VAT).

Dr Andrzej Kurkiewicz

Zastępca Dyrektora Departamentu Strategii MNiSW

PRZEGLĄD PRASY

UCZELNIANY WYŚCIG

Pytany o opinię na temat rankingów szkół wyższych, prof. Andrzej Białas, prezes PAU, odpowiedział:

Skoro nie da się przygotować naprawdę wiarygodnego i miarodajnego, moim zdaniem [rankingi] nie mają sensu. Wprowadzają tylko zamęt i niepotrzebne emocje, bliższe sportowemu wyścigowi niż poważnemu myśleniu o jakości nauczania. Lepiej byłoby podzielić uczelnie na kategorie,

pogrupować specjalnościami zgodnie z prezentowanym przez nie poziomem, gdyż to dawałoby lepszy ich obraz. Właśnie taka generalna orientacja jest potrzebna kandydatom wybierającym się na studia. Nie mam zaufania do rankingów. Sam byłbym w stanie ustalić, które szkoły są w Polsce najlepsze, a potem z łatwością dałoby się do tego dopasować kryteria. Dlatego uważam, że opracowaniem takich wykazów powinno się – z całym szacunkiem dla prasy – zająć Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego, które potem ujawniałoby społeczeństwu wyniki.

*Wybieraj uczelnię z pierwszej dziesiątki
Polska. Gazeta Krakowska, 18 maja 2010*

LIDER, NIE MANAGER

Zapytana o rolę, jaką powinien na uczelni

spełniać rektor, prof. Katarzyna Chałasińska-Macukow, rektor UW powiedziała:

To może idealistyczne podejście, ale jestem przekonana, że uniwersytet musi być wspólnotą, a rektor powinien być jej liderem, a nie managerem w klasycznym rozumieniu tego słowa. Rektor, który ma za sobą wieloletnią pracę naukową i dydaktyczną, najlepiej rozumie, czym jest kształcenie na poziomie wyższym. Oczywiście osoba pełniąca tę funkcję powinna mieć możliwość korzystania z rad najlepszych profesjonalistów od zarządzania, prawników, finansistów i ekonomistów, ale nie ma sensu domagać się, żeby to rektor był specjalistą od prawa europejskiego, czy zarządzania obiektami. Nie możemy zapominać, po co tu jesteśmy.

*Uniwersytet naprawdę otwarty
Perspektywy, maj 2010*



NIE ZAMIERZAM BIĆ REKORDÓW

Kończąc rozpoczęty w połowie ubiegłego roku cykl wywiadów z pracownikami UW o ich pozanaukowych pasjach, Katarzyna Łukaszewska rozmawia z dr Iwoną Szumacher z Wydziału Geografii i Studiów Regionalnych o tym, czy można pasję odkryć „niechcący”

Dr Iwona Szumacher podczas biegu w Bochni, fot. zbiory prywatne

Od 2005 r. w kopalni soli w Bochni organizowany jest podziemny bieg sztafetowy, na który nie zawsze udaje się dostać nawet zawodowym maratończykom. Jak to się stało, że wzięła w nim Pani udział?

I. Sz.: O tym, że jest to tak prestiżowy bieg, dowiedzieliśmy się po fakcie. Sądziłyśmy, że to impreza dla amatorów. Mój kolega geograf Robert Szewczyk znalazł informację o biegu i zaproponował nam, żebyśmy wystartowali. Nam, czyli grupie „biegających” osób związanych z Wydziałem Geografii – absolwentów, pracowników.

Jak wygląda sztafeta w kopalni?

I. Sz.: Biega się w korytarzu o długości 1,21 km, 212 m pod ziemią. Nie ma tam zbyt dużo miejsca, więc może pobic maksymalnie 60 drużyn 4-osobowych. Zgłasza się więcej, więc mieliśmy szczęście, że nas wylosowali. Startuje się o 10 rano. Bieg jest 12-godzinny, wygrywa ta drużyna, która w ciągu tego czasu przebiegnie najwięcej kilometrów.

Trudno się biega na takiej głębokości?

I. Sz.: Trudniej niż normalnie. Pod ziemią inaczej się oddycha, inaczej regeneruje się organizm. Profesjonaliści, którzy startowali, biegli w tempie sprinterskim. Nam na ich tle poszło całkiem nieźle. Najlepsza drużyna przebiegła w ciągu 12 godzin 212 km, a my 138. Zajęliśmy 53. miejsce, ale śmiałyśmy się, że wśród drużyn geografów byliśmy pierwsi. Ten bieg to była przygoda naszego życia. Ta sama grupa wystartowała w półmaratonie jurajskim w czerwcu.

Wasza drużyna nazywała się polskieandy.pl.

I. Sz.: Tak, chcieliśmy w ten sposób promować projekt „Polskie Andy”, który jest dziełem Wojtka Lewandowskiego, też z Wydziału Geografii. Organizuje on wyprawę „Śladami Polskich Wypraw w Andy. 75 lat po Pierwszych Zdobywcach”. W grudniu jedziemy do Argentyny w region Mercedario, będziemy wchodzić m.in. na Pico Polaco i do Chile, gdzie celem jest szczyt Cerro Osiecki, nazwany tak na cześć polskiego przedwojennego alpinisty Stefana Osieckiego.

Bieganie to tak naprawdę Pani druga pasja, pierwszą są góry.

I. Sz.: Góry to podstawa, tak naprawdę „przez góry” zaczęło się moje bieganie. Lubię ekspedycje wysokogórskie, a wejście na sześciotysięcznik wymaga przygotowania, przyzwyczajenia organizmu do wysiłku. 4 lata temu, przed wyprawą na Aconcaguę, najwyższy szczyt Andów i Ameryki Południowej, stwierdziłam, że potrzebne mi dobre przygotowanie fizyczne. Koleżanka, która zdobyła ten szczyt, odpowiedziała mi, że najlepszym treningiem jest bieganie i tak się zaczęło. Po powrocie z Aconcagui, zaczęło mi biegać brakować. A ponieważ przygotowywałam się wtedy do kolejnej wyprawy na Muztagh Ata, wróciłam do treningów. Biorąc pod uwagę mój wiek, zaczęłam biegać dość późno. Wcześniej nie byłam specjalnie wysportowana, a teraz jeśli zdarzy mi się tydzień, w którym nie trenuję, to źle się czuję. Biegam trzy, cztery razy w tygodniu, lubię długie dystanse – 10-15 km. Mieszkam pod Warszawą, więc mam w okolicy dobre trasy. Bieganie to w moim przypadku taka „pasja przez przypadek”. W porównaniu z moimi znajomymi, którzy biegają od lat, jestem amatorką.

Amatorką, która biega w maratonach.

I. Sz.: Na maraton namówił mnie w ubiegłym roku Tomasz Grabowski – kolega z pracy, który również biega. Dla mnie to było nie do wyobrażenia, żeby startować, ale on mnie przekonywał, że skoro ciągle biegam, to powinienam spróbować swoich sił w Półmaratonie Warszawskim – na 21 km. Wcześniej każdemu, kto pytał mnie o bieganie, mówiłam, że nie zamierzam brać udziału w zawodach, tylko przygotowuję się do wyprawy. Ale w końcu wystartowałam. Po kilku miesiącach wzięłam jeszcze udział w Maratonie Warszawskim. Ku mojemu zdziwieniu przebiegłam 42 km i to z całkiem dobrym czasem jak na tak leciwą kobietę (śmiech). Zawodowcy biegną niewiele ponad 2 godziny, mi to zajęło 4 godziny 13 minut. Jak na pierwszy raz całkiem nieźle. W tym roku mam za sobą kolejny półmaraton i pewnie pobiegnę też w maratonie. Dla mnie to po prostu przyjemność i nie zamierzam bić żadnych rekordów.

POLSKIE ANDY

„Śladami Polskich Wypraw w Andy. 75 lat po Pierwszych Zdobywcach” to kontynuacja projektu „Wyżej niż kondory 70 lat później”, którego celem było powtórzenie przedwojennych osiągnięć polskich alpinistów w górach Ameryki Południowej. Pod kierunkiem dr. Wojciecha Lewandowskiego z WGiSR zorganizowano w latach 2005-2007 trzy wyprawy, podczas których alpinisci zdobyli m.in. Aconcaguę, Ojos de Salado oraz Mercedario (artykuł na temat wypraw ukazał się w naszym piśmie w czerwcu 2009 r.). Celem obecnego projektu, nad którym „Uniwersytet Warszawski” sprawuje patronat medialny, jest organizacja wyprawy na pozostałe szczyty w regionie Mercedario (m.in. Pico Polaco, Cerro Wanda) oraz Cerro Osiecki w grudniu 2010 r. Zostanie ona udokumentowana na filmie, który przypomni także wyprawy polskich alpinistów z lat 30. XX w. Więcej o projekcie znaleźć można na stronie: www.polskieandy.pl.

DZIWNNE ŚWISTY I SZELESTY



Zenilda Yolanda Vando Malongamayi, studentka I roku stosunków międzynarodowych na UW opowiada Izabeli Kraszewskiej o swoich potyczkach z językiem polskim i z całkowicie nieafrykańską pogodą

Skąd wziął się pomysł studiowania w Polsce?

Z.YVM.: W Angoli studiowałam marketing i kiedy pojawiła się szansa wyjazdu na stypendium, to nie zastanawiałam się dwa razy. Miałam do wyboru Polskę albo Algierię. I oczywiście wybrałam Polskę, bo wydawała mi się całkowicie inna i odległa od tego co znałam.

Jak zareagowali Twoi najbliżsi, gdy dowiedzieli się, że wyjeżdżasz tak daleko?

Z.YVM.: Powiem szczerze – odradzali mi. Przyjaciele pytali, dlaczego chcę jechać właśnie do Polski. Namawiali mnie, żebym zmieniła zdanie.

Skąd ich obawy?

Z.YVM.: U nas w Angoli jest takie powiedzenie, że Polacy są tak samo zimni jak klimat, który panuje w ich kraju. Ludziom w Afryce kojarzy się z wrogim nastawieniem do innych ras, dlatego moi znajomi byli zaniepokojeni, że jadę do Polski i to w dodatku sama. Ale to była moja decyzja, której nie żałuję. Tutaj ludzie są tacy sami jak wszędzie – jedni mili, drudzy nie.

Jak długo jesteś w Polsce?

Z.YVM.: Od 17 miesięcy.

I tak dobrze mówisz po polsku?

Z.YVM.: Staram się (śmiech). Cały czas próbuję rozmawiać z Polakami, bo wtedy najszybciej uczę się nowych słówek. Ale moje początki z językiem polskim były naprawdę trudne.

Opowiedz o tym.

Z.YVM.: Najpierw trafiłam do szkoły językowej w Łodzi, gdzie przez dziesięć miesięcy uczyłam się polskiego. Najgorsze było to, że nigdy wcześniej nie miałam styczności z tym językiem. Gdy tu przyjechałam, to przez długi czas słyszałam wokół siebie jedynie dziwne świsty i szelesty. Byłam przerażona. Myślałam, że nigdy nie nauczę się mówić po polsku, ale powoli, powoli zaczęłam wypowiadać pierwsze słowa. Jednak najwięcej trudności sprawiła mi skomplikowana gramatyka i zrozumienie zawilej historii Polski.

A po zakończeniu kursów w Łodzi zaczęłaś studia na UW?

Z.YVM.: Tak, przeprowadziłam się do Warszawy i teraz studiuję stosunki międzynarodowe. Pomyślałam, że to może być znacznie bardziej interesujący kierunek niż marketing. Nie rozczarowałam się. Studia są bardzo ciekawe, ale nie należą do najłatwiejszych. Mamy naprawdę dużo egzaminów, podczas których trzeba wykazać się rzetelną wiedzą.

Swoje plany zawodowe wiążesz z dyplomacją?

Z.YVM.: Zdecydowanie tak. Po studiach mam zamiar wrócić do Angoli i tam wykorzystywać wiedzę zdobytą tutaj.

Dlaczego chcesz wracać?

Z.YVM.: Afrykanom nie jest łatwo żyć w Polsce – mam na myśli na przykład pogodę. Bardzo, ale to bardzo nie lubię zimy. I jeśli nie muszę wtedy wychodzić na zewnątrz, to cały czas siedzę w domu. Przyjaciele mówią mi, że nie powinnam tak robić, ale czasem nie potrafię się przełamać i rezygnuję ze wspólnego wyjścia do kina czy na imprezę. Nawet teraz, kiedy jest już ciepło, ubieram się nieco grubiej niż inni, bo nie jestem przyzwyczajona do takich temperatur.

Zasmakowałaś w polskiej kuchni?

Z.YVM.: Od razu przyznam się, że za nią nie przepadam. Na co dzień gotuję dania angolskie, którymi chętnie częstuję polskich przyjaciół. Najbardziej lubię, jak przyrządzam rybę. Dodaję do niej specjalne przyprawy afrykańskie, które są kluczem do kulinarnego sukcesu (śmiech).

Czy Polacy interesują się Twoją kulturą?

Z.YVM.: Ci którzy mnie znają, zawsze mają jakieś pytania. Gdy słyszą angolską muzykę, od razu zaczynają tańczyć. Lubią słuchać afrykańskich piosenek i często dopytują się o znaczenie poszczególnych słów. Sprawia mi to ogromną przyjemność.

Jak spędzisz wakacje?

Z.YVM.: Chciałabym pojechać do domu. Zależy mi na tym, żeby spotkać się z rodziną. Mam pięć siostr, których nie widziałam odkąd tu przyjechałam. Chętnie spędzę z nimi czas i podzielę się wrażeniami z Polski.



Yolanda, fot. zbiory prywatne



W PLENERZE

Ewelina Tomczak

Czas studiów wywołuje różne skojarzenia – ogrom obowiązków i nauki albo totalna łaba, imprezy, miłości, stresujące sesje, stopy notatek. Przyjaźnie, rozczarowania, pierwszy obłany egzamin. Ambicje, kształtowanie się charakteru, znalezienie konkretnego celu. Był czas, że chciałam realizować filmy, był czas, że chciałam malować. Był czas, że chciałam robić jedno i drugie jednocześnie. Aż w końcu przyszedł czas, że zaczęłam fotografować, a jednocześnie pociągało mnie pisanie. Tak, błędziłam dużo. Ale jaki jest tego rezultat? UW, dziennikarstwo, specjalność: fotografia.

Studenci prawa mają swoje praktyki w kancelariach, studenci medycyny w szpitalach, studenci, którzy wybierają resocjalizację, chodzą po ciemnych zakamarkach ośrodków wychowawczych i więzień. Studia to nie tylko teoria. Żadna to odkrywca prawda. A co ja mam oprócz zeszytów notatek? Zajęcia w ciemni, w studiu, pracowni fotografii cyfrowej, a raz w roku plener.

Rok temu Kazimierz Dolny, piękny Kazimierz, choć za krótki to był wypad, aby móc się nacieszyć jego wdziękami w pełni. A ten maj? Mazury, kierunek: Piecki. Nie będę tutaj się rozwodzić nad Mrągowem, Kętrzynem, Wilczym Szańcem, ale wszędzie tam byliśmy i wszędzie trzeba było zrealizować zadany temat. Takich wyjazdów się nie zapomina. Nagle okazuje się, że na twoim roku są osoby niepozorne, a wspaniałe. Potem uzmysławiasz sobie, że osoby, które już znasz i lubisz, da się lubić jeszcze bardziej. Że twoi wykładowcy

to ludzie z niezwykle poczuć humoru, niekiedy surowi, ale pomagający ci znaleźć odpowiedni kierunek twoich poczyni.

Myślicie sobie – „nocne Polaków rozmowy” zbliżają. Nie zaprzeczę. Ale tu chodzi o coś innego. Zupełnie. Tu chodzi o fotografię. O wspólną pasję ponad 70 osób, które zdecydowały się ruszyć w plener. Zapuszczasz się w obce, choć niewielkie miasto i masz na uwadze temat, który zadał ci twój wykładowca. Pada, jest szaro, czujesz po 2 godzinach zmęczenie, znużenie. A wieczorem masz zaprezentować przed kadrą i innymi studentami swoje zdjęcia. „Z czym do ludzi?” – myślisz sobie. Jednak przełamujesz się, pokazujesz swoje obrazy, które (masz nadzieję), zostały utrwalone w tym „decydującym momencie”. Pokazujesz swoje spojrzenie na świat, ludzi. I nie jest źle, a wręcz ciekawie. A jeśli jest źle, dowiesz się o tym, co więcej – będziesz wiedzieć, czemu jest źle.

Jest to jeden z najważniejszych egzaminów w trakcie moich studiów. Właśnie ten moment, kiedy nie mam kilku tygodni na przygotowanie się do tematu, a godzinę lub dwie. Jestem ja, mój aparat. Wracając z każdej z wypraw, trzymając aparat na kolanach, wiesz, czy ci się udało, czy nie. Umiejętność rozróżnienia tego jest najważniejszą nauką I jeśli tego dokonasz, to uśmiechasz się lekko do siebie, bo wiesz, że na kliszy bądź na karcie pamięci masz właśnie te momenty utrwalone, zapisane, zakodowane. Jakby banalnie i naiwnie to nie brzmiało, dopiero, gdy masz pewność, że zrobiłeś choć jedno naprawdę dobre zdjęcie, plener można uznać za udany.



Na zdjęciach: zespół PFP, studenci w trakcie pracy oraz fotografie z pleneru na Mazurach, fot. K. Korbuszewska, M. Kaźmierczak, PFP UW



Od kilku numerów na łamach naszego pisma ukazują się zdjęcia wykonane przez studentów **Pracowni Fotografii Prasowej ID UW**. Nasi czytelnicy mogli zobaczyć fotografie z wystawy „Warszawa-Warszawa”. Zdjęcia studentów PFP były także ilustracją do kilku artykułów, w tym numerze pojawiły się m.in. przy tekście prof. Marcina Kuli. Współpraca z pracownią, niosąca oczywiste korzyści dla redakcji i szaty graficznej naszego pisma, jest też doskonałą okazją dla studentów – pokazania swojego talentu i umiejętności zdobytych w trakcie zajęć. Tym razem prezentujemy zdjęcia z majowego pleneru studentów PFP na Mazurach, opatrzone wspomnieniami jednej z jego uczestniczek.

Początki Pracowni Fotografii Prasowej w Instytucie Dziennikarstwa sięgają 1966 roku. Związane są z przyjściem do pracowni Zbigniewa Żłotnickiego, sekretarza redakcji Centralnej Agencji Fotograficznej, który najpierw prowadził seminarium warsztatowe i dyplomowe na studiach podyplomowych, a następnie specjalizację fotograficzną w ramach ćwiczeń warsztatowych na studiach magisterskich. W październiku 2007 roku dzięki staraniom zespołu pracowni (a wcześniej propozycji złożonej przez ówczesnego dyrektora instytutu prof. Janusza Adamowskiego) ruszyła w instytucie specjalność w zakresie fotografii prasowej, reklamowej i wydawniczej na kierunku dziennikarstwo i komunikacja społeczna. Kolejnym krokiem będzie utworzenie Zakładu Fotografii Prasowej, Wydawniczej i Reklamowej, który kontynuować będzie kilkudziesięcioletnią działalność pracowni. Kwestia ta będzie przedmiotem obrad Senatu UW w październiku.



ZIEMIA NALEŻY DO DUCHÓW

Ofiarna czaszka złożona na kamiennym kopcu *owoo*, fot. K. Szmigielska

Karolina Szmigielska

Mongolscy pasterze od niepamiętnych czasów, niezależnie od pory roku, nieustrudzenie przemieszczają się z miejsca na miejsce w poszukiwaniu trawy dla swych zwierząt. W trakcie wędrówek przemierzają setki kilometrów. Każde kolejne przekoczowanie jest wielkim wydarzeniem wymagającym od koczowników licznych przygotowań. Jego pomyślność nie zależy jednak jedynie od człowieka. W kraju, którego powierzchnia jest pięciokrotnie większa od Polski, a liczba ludności wynosi niewiele ponad 2,7 miliona – krajobraz, środowisko i przestrzeń nabierają wyjątkowego znaczenia.

Podczas badań przeprowadzonych w Altaju Mongolskim skupiałam się na sposobie, w jaki nomadzi organizują miejsca i przestrzenie, w obrębie których żyją. Niemal wszystkie mongolskie bajki, przypowieści i legendy odwołują się do głębokiej relacji, jaka łączy Mongołów z Niebem i Ziemią. Czytamy w nich, że los człowieka jest w nierozdzielny sposób związany z przyrodą – to głęboka obustronna relacja. Dla altajskich pasterzy, których życie od pokoleń jest związane z górami, krajobraz nie jest jedynie miejscem zamieszkania czy nieodłącznym elementem koczowania. Staje się fizyczną i duchową częścią człowieka – stanowi integralną część osoby.

Krajobraz mongolskiego stepu moglibyśmy potraktować jako pewien wycinek przestrzeni charakteryzujący się swoistym klimatem, szatą roślinną i wyglądem, która z łatwością może zostać przedstawiona w formie graficznej. Szybko okazałoby się jednak, że nie ma to wiele wspólnego z codziennymi doświadczeniami altajskich nomadów. Dla nich krajobraz jest przede wszystkim praktyką i mentalną przestrzenią, w której na jednym poziomie ludzie żyją wraz z istotami transcendentnymi.

Mongołowie nie zagarniają ziemi, by uczynić ją sobie poddaną. Mają bowiem świadomość, że to nie oni są jej dysponentami. Każda góra, każde jezioro, źródło czy drzewo samotnie stojące na stepie – wszystkie one są obdarzone *ami*, bliżej nieokreśloną siłą życiową. Niektóre elementy krajobrazu są jednak wyobrażane jako kapryśne duchy o konkretnym wyglądzie i powszechnie znanym imieniu. Mongolscy pasterze określają je mianem władców, panów lub gospodarzy – *Gazariin Ezen*. To od nich bowiem należy uzyskać

pozwolenie na koczowanie w danej dolinie. Różnego rodzaju siły i byty zamieszkujące krajobraz mają realny wpływ na ludzkie życie. Nomadzi, starając się nie zakłócać ich spokoju, zawsze odnoszą się do nich z szacunkiem. Każdego dnia rano gospodyni jurty kropi pierwsze krople świeżo zaparzonej herbaty na cztery strony świata. Szepcząc prośby i modlitwy, składa ofiarę dla ducha opiekuna doliny. Wie, iż to od dobrej relacji z *Gazariin Ezen* zależy byt jej rodziny. Pasterze powiadają, że większość nieszczęść i niepomyślności, jakie spadają na ludzi jest wynikiem gniewu ducha opiekuna, który zapewne został wcześniej znieważony. Jeśli w danej okolicy pojawiają się susze, burze lub z niewyjaśnionych powodów zaczyna wymierać bydło – koczownicy przy wsparciu lamy lub szamana udają się na górę, która jest siedzibą lokalnego *Gazariin Ezen*. Składając ofiary z barana, wódki, cukierków i mlecznych produktów, „karmią” ogień i proszą ducha opiekuna o wstawiennictwo i wybaczenie.

Step ma oczy i uszy. Naganne zachowanie może spowodować gniew duchów. Te ostatnie mogą z łatwością przybierać ludzką postać lub ukazywać się jako ptak, dzika koza czy jeleni. Z tego też powodu w trakcie przekoczowania czy codziennego przemieszczania należy obserwować „znaki” zarysowane w krajobrazie. W okolicach czczonych miejsc zabrania się jakiegokolwiek polowania na zwierzęta. Nie wolno tam także zostawiać śmieci, hałasować, wzruszać ziemi, zbierać dzikiej cebuli czy suchych gałązek karagany. Takie zachowanie mogłoby rozniewać gospodarzy. Warto natomiast zatrzymać się przy kopcach *owoo*, by dołożyć do nich kamień lub skromny podarek poprosić mieszkającą w nich istotę o przychyłność.

Altajscy pasterze zawsze pozostają w bliskiej relacji z *Gazariin Ezen* swego *nugatu* (małej lokalnej ojczyzny). Kiedy tylko mają problemy ze zdrowiem, zwracają się do duchów opiekunów. *Ami* człowieka jest bowiem nierozłącznie związane z *ami* danej okolicy. Nomadzi są świadomi konsekwencji, jakie wynikają z tej współzależności. Doświadczają jej codziennie. Ich bezpośrednia percepcja krajobrazu jest raczej sposobem angażowania się w niego, a nie wynikiem przekazywanego z pokolenia na pokolenie modelu kulturowego.

Pejzaż w Mongolii nie jest jedynie obiektem doznań estetycznych. Dla altajskich nomadów środowisko, krajobraz, przestrzeń pozostają w nierozdzielny sposób związane z praktyką, z codziennymi czynnościami i działaniami wynikającymi z zamieszkiwania i koczowania na konkretnym obszarze.

Karolina Szmigielska jest studentką etnologii oraz mongolistyki i tybetologii na UW. Badania wśród mieszkańców Altaju Mongolskiego prowadziła w 2008 i 2009 r., w tym roku będzie je kontynuować.

ODPOWIEDZIALNOŚĆ W PRAWIE MIĘDZYNARODOWYM



Oktawian Kuc

Odpowiedzialność stanowi jedno z podstawowych zagadnień prawa międzynarodowego, które nadal budzi wiele kontrowersji oraz stanowi przedmiot gorących debat praktyków i teoretyków. Dzieje się tak z kilku powodów. Pierwszym jest działalność kodyfikacyjna Komisji Prawa Międzynarodowego ONZ, która przez blisko 50 lat zajmowała się tematyką odpowiedzialności państw w stosunkach międzynarodowych. Ostateczny wynik tych prac został przedstawiony w roku 2001 w postaci *Draft Articles on Responsibility of States for Internationally Wrongful Acts* (Projekt przepisów dotyczących odpowiedzialności państw za czyny międzynarodowe sprzeczne z prawem), w którym w sposób całościowy zajęto się tą tematyką, podsumowując wielowiekową praktykę państw. Dokument do dzisiaj nie przyjął formy konwencji międzynarodowej i powinien być raczej odczytywany jako dowód zwyczaju w prawie międzynarodowym. Komisja rozpoczęła również prace nad skodyfikowaniem norm międzynarodowych dotyczących odpowiedzialności organizacji międzynarodowych za działania sprzeczne z prawem. Prace trwają.

Drugą przyczyną tak znacznego zainteresowania prawnymi aspektami odpowiedzialności jest znaczny rozwój prawa międzynarodowego. W XX w. wyodrębniły się nowe dziedziny *ius gentium*, w sposób znaczący rozwinęło się sądownictwo międzynarodowe i inne zinstytucjonalizowane sposoby pokojowego rozwiązywania sporów, a klasyczne instytucje prawne, jak odpowiedzialność, ewoluowały.

Doskonale zjawisko to ilustruje międzynarodowe prawo karne – młoda dziedzina prawa międzynarodowego. Jej początki upatrywane są w Traktacie Wersalskim kończącym pierwszą wojnę światową, który czynił cesarza Wilhelma II odpowiedzialnym za wybuch wojny i ustanowił trybunał celem jego osądzenia. Nigdy do tego jednak nie doszło, gdyż Holandia odmówiła wydania cesarza. Tak więc prawdziwym początkiem międzynarodowego prawa karnego okazały się Trybunały Norymberski i Tokijski. Wyroki, które zapadły, stanowiły podstawę międzynarodowej odpowiedzialności jednostek za złamanie prawa międzynarodowego. Ostatecznie, dopiero jurysprudencja dwóch trybunałów karnych *ad hoc* powołanych przez Radę Bezpieczeństwa w celu osądzenia zbrodniarzy, którzy dopuścili się haniebnych czynów podczas konfliktu w byłej Jugosławii oraz Rwandzie, ukształtowała odpowiedzialność indywidualną za zbrodnie międzynarodowe. Dzisiaj zaliczamy do nich: ludobójstwo, zbrodnie przeciwko ludzkości (eksterminacja, tortury, niewolnictwo, apartheid, deportacje, przemoc seksualna, prześladowania wymierzone przeciw ludności cywilnej w ramach systematycznego i zakrojonego na szeroką skalę ataku), zbrodnie wojenne (poważne naruszenia Konwencji Genewskich z 1949 roku, a także innych praw i zwyczajów wojennych zarówno podczas konfliktów międzynarodowych, jak i o charakterze wewnętrznym) oraz zbrodnie agresji, która niestety nie doczekała się definicji legalnej i tym samym jej ściganie jest znacznie utrudnione.

Dorobek wszystkich wzmiankowanych doraźnych sądów międzynarodowych jest znaczący zarówno w aspekcie materialnym – wyznaczenie definicji poszczególnych zbrodni międzynarodowych, określenie zasad odpowiedzialności jednostki, w tym przełożonego za czyny popełnione przez podwładnych, jak i w aspekcie proceduralnym – gwarancje procesowe, prawa oskarżonego, i przyczynił się do powstania Międzynarodowego Trybunału Karnego. Został on

powołany w 2002 r. na podstawie Statutu Rzymskiego jako stały organ międzynarodowy, którego zadaniem jest „wykonywanie jurysdykcji karnej wobec osób, które dopuściły się najpoważniejszych zbrodni wagi międzynarodowej” (art. 1 Statutu).

Ostatnie stulecie to okres wzmożonej wymiany handlowej, globalizacji i olbrzymich współzależności gospodarczych w skali świata. Sytuacja ta nie mogła przejść bez echa również w wymiarze prawnym. Wyłoniło się międzynarodowe prawo inwestycyjne, którego podstawowym instrumentem regulującym są tzw. BITs (*Bilateral Investment Treaties*) – tj. umowy dwustronne o wzajemnej ochronie inwestycji. Ściśle określają prawa i obowiązki państw względem inwestorów oraz inwestycji zagranicznych, które są podejmowane na jego terytorium, oraz obejmują te inwestycje ochroną prawną

Odpowiedzialność, jedno z podstawowych zagadnień prawa międzynarodowego, stanowi przedmiot gorących debat praktyków i teoretyków

poprzez zobowiązanie państw do traktowania ich w sposób niedyskryminacyjny i na równi z inwestycjami krajowymi. W BITs często umieszcza się także klauzule arbitrażowe, które uprawniają inwestorów do bezpośredniego dochodzenia swoich praw przed międzynarodowymi trybunałami arbitrażowymi. Zjawisko to jest precedensowe, gdyż po raz pierwszy w historii prawa międzynarodowego podmioty prywatne zostają uprawnione do dochodzenia swoich praw bezpośrednio wobec państw z pominięciem ochrony dyplomatycznej. Drugą kontrowersyjną kwestią jest zakres odpowiedzialności państw z tytułu wyrządzenia szkody inwestorom zagranicznym, w tym szczególnie za wywłaszczenie inwestycji.

Przedstawione wyżej zagadnienia stanowią tylko mały wycinek odpowiedzialności różnych podmiotów w prawie międzynarodowym. Samo zagadnienie odpowiedzialności w *ius gentium* oraz różne jego aspekty były przedmiotem gorących dyskusji podczas III Międzynarodowej Konferencji Studencko-Doktoranckiej „Odpowiedzialność w prawie międzynarodowym” / 3rd International Conference of Law Studies „Responsibility in International Law”, która odbyła się na Uniwersytecie Warszawskim w dniach 15-16 marca. Wśród prelegentów znaleźli się doktoranci i studenci z 8 polskich uniwersytetów (Uniwersytet w Białymstoku, Uniwersytet Jagielloński, Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie, Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu, Uniwersytet Opolski, Uniwersytet Śląski, Uniwersytet Warszawski, Uniwersytet Wrocławski) oraz z Czech, Iranu, Kazachstanu, Rosji i Ukrainy.

Oktawian Kuc jest studentem IV roku Międzywydziałowych Indywidualnych Studiów Humanistycznych. Był jednym z organizatorów międzynarodowej konferencji „Odpowiedzialność w prawie międzynarodowym”.

U ŹRÓDEŁ WSPÓŁCZESNOŚCI,

czyli o polskiej fascynacji Sycylią

Anna Bińkowska, Konrad Gutkowski

Sycylia od wieków przyciągała uwagę miłośników historii starożytnej, podróżników, dyplomatów, pisarzy, a z czasem także artystów: malarzy, rzeźbiarzy i muzyków. Od XVIII w. tę największą wyspę Morza Śródziemnego coraz częściej odwiedzano na zakończenie, czy też jako dopełnienie, *Grand Tour* – modnej wśród ówczesnej europejskiej elity, wielomiesięcznej podróży, odbywanej po południowych obszarach naszego kontynentu. Obok licznie przywożonych z tych „edukacyjnych” wędrowek materialnych souvenirów, równie cennymi pamiątkami były listy i pamiętniki, pełne romantycznych opisów architektury, przyrody i mieszkańców, nie rzadko wzbogacone równie nastrojowymi ilustracjami.

Od XVI w. Sycylia jest stale obecna także w kulturze polskiej, stając się ważnym miejscem na mapach artystycznych wypraw, poszukujących wiedzy i kulturowych inspiracji obywateli Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Jednym z najważniejszych świadectw wpływu Sycylii na kulturę polską są szkice Jana Chrystiana Kamsetzera, wykonane podczas jego włoskiej wyprawy w maju i czerwcu 1781 r. Na dwudziestu sześciu kartach artysta utrwalił to, co na ówczesnej Trinakrii wydało mu się najbardziej godne uwagi, m.in. ruiny Segesty i Agrigentu, krajobrazy Messyny i katakumby klasztoru oo. Kapucynów w Palermo. Ryciny te odegrały istotną rolę w kształtowaniu się rodzimego klasycyzmu, stając się inspiracją wielu projektów architektonicznych i malarskich. Rysunki Kamsetzera posiadają też uniwersalną wartość – dokumentując stan zabytków w XVIII w., który często dość znacznie odbiega od zachowanego i znanego nam współcześnie ich wyglądu.

Szczególnie liczne i różnorodne stały się kulturalne asocjacje polsko-sycylijskie w minionym stuleciu. Najbardziej znanymi postaciami życia artystycznego tego okresu, zafascynowanymi Sycylią, pozostają Karol Szymanowski i Jarosław Iwaszkiewicz, twórcy *Króla Rogera*. Sycylijskie pejzaże, przede wszystkim Etny, urzekły w pierwszej połowie XX w. jednak także wielu innych polskich artystów. Oczarowanie to zaowocowało m.in. obrazami Gustawa Gwozdeckiego (*Etna*), Iwana Trusza (*Widok na Etnę*, 1902-1908), Kazimierza Stabrowskiego (*Widok Taorminy*, po 1920) oraz Sotera Jaxa-Malachowskiego (*Brzeg morski – Sycylia*, 1925). Doceniano również architekturę sycylijską, ukazaną np. w *Dzielnicy klasztoru*,

autorstwa Kazimierza Stabrowskiego (1924-1926), przedstawiającym magiczny krużganek klasztoru benedyktynów w Monreale.

II wojna światowa i okres stalinizmu ograniczyły na pewien czas te związki. Dopiero w roku 1957 Związek Polskich Artystów Plastyków zorganizował wyjazd, w którym wzięło udział blisko trzydziestu artystów, w tym rzeźbiarze: Karol Tchorek, Alfons Karny, Bronisław Koniuszy, Tadeusz Łodziana. Dzięki zachowanej w Fundacji Tchorek-Bentall korespondencji Tchorka z przyjacielem Michałem Paszynem (mieszkającym na stałe we Włoszech) wiemy, że w planie podróży znalazły się, obok Florencji, Rzymu, Pizy czy Neapolu, także Palermo i Agrigent. Rysunki Tchorka, wykonywane przez niego, w szkicowniku bądź na luźnych kartkach, „na gorąco”, bezpośrednio przed obiektami są interesującym świadectwem zainteresowań artystów sztuką dawną: zabytki etruskie, surowa doryka, prostota, klarowność i jasność wielkich mistrzów starożytności zdominowały bogaty styl okresu hellenistycznego. Rysunki Tchorka są pod tym względem tym cenniejsze, że dokumentują przebieg wyjazdu i przeżywane wówczas przez autora, a nieobce i innym jego towarzyszą, fascynacje aktualnymi odkryciami archeologicznymi. Bezpośrednio z Sycylią wiąże się trzynaście rysunków. Szkicowane przed świątynią Dioskurów w Agrigencie, w Palermo, w Muzeum Archeologicznym czy w kościele Della Magione, są pełne uczuć, impresji, jakże dalekich od starannego opracowania w zaciśniętym pracowni.

Inną reminiscencją sycylijskich fascynacji jest *Wspomnienie z Agrigentu* – rzeźba Stanisława Horno-Popławskiego. Powstała w roku 1957 lub 1958 po włoskiej podróży artysty, pod wpływem archaicznej sztuki Sycylii. Dzieło przedstawia granitową głowę o zatartych, surowych rysach twarzy, jakby fragment wydobytego prosto z ziemi antycznego posągu. Rzeźbę uznaje się za pierwszą pracę Popławskiego wykorzystującą ekspresję naturalnych form granitów polnych. Nawet faktura kamienia nawiązuje do charakterystycznego, muszlowego wapienia, z którego wykonywano świątynie Wielkiej Grecji.

Intrygujące jest również podejście do zabytków Sycylii Ryszarda Natusiewicza, wrocławskiego inżyniera – architekta – budowniczego – rysownika, który w latach 1972-1988 odbył cykl studyjnych wyjazdów po krajach śródziemnomorskich. Rezultatem tych podróży jest bogaty zbiór szkiców przedstawiających przede wszystkim architekturę, ale również rzeźbę, głównie architektoniczną. W przeciwieństwie do artystów z połowy XX w., Natusiewicza pociąga raczej epoka hellenistyczna oraz rzymska, szkicując również charakterystyczną architekturę barokowej Sycylii.

Czar antycznych ruin Sycylii oddziaływał na licznych polskich *travellerów* przez wiele stuleci, a przede wszystkim w XVIII i XX w. Ich urokowi będą mogli ulec również współcześni warszawiaczy – 16 grudnia w Pałacu Kazimierzowskim Uniwersytetu Warszawskiego otworzy się wystawa pt. *U źródeł sztuki współczesnej. Polscy artyści na Sycylii*, prezentująca wybrane zagadnienia poruszone w artykule. Wystawę zorganizowaną przez Koło Naukowe Recepcji Antyku „Ars Antica” będzie można oglądać do końca roku.



Jan Chrystian Kamsetzer, Świątynia Konkordii w Agrigento, 1781

Anna Bińkowska jest studentką Instytutu Archeologii, Konrad Gutkowski jest wiceprezesem Stowarzyszenia Studentów i Absolwentów Instytutu Archeologii UW ARCHEO. Brali udział w objeździe naukowym na Sycylię zorganizowanym w ramach zajęć w Instytucie Archeologii UW, w maju 2010 r.

Franciszek Krzyształowicz

Piękno Tatr, muzyka, malarstwo i syfilis

Przyjemnie jest pisać o postaci mającej różnorodne zainteresowania. Taką osobą był Franciszek Krzyształowicz, dermatolog i rektor UW w latach 1924-25. Prywatnie dał się poznać jako przyjaciel muz i miłośnik przyrody tatrzańskiej, a pod koniec życia koneser malarstwa.

Nasz bohater urodził się w 1868 roku w Krakowie i przez niemal 30 lat związany był z tym miastem. Tu ukończył znane gimnazjum św. Anny (1886 r.), tu skończył studia medyczne (1892 r.) i tu też zdobył pierwsze stopnie naukowe. Jeśli wyjeżdżał z grodu Kraka, to na niezbyt długo, po to by cieszyć oko pięknem przyrody. Franciszek Krzyształowicz pasjonował się taternictwem i jako student wdrapywał się na szczyty, na których jeszcze ludzka noga nie powstała. I tak przyszły rektor UW jako pierwszy zdobył Baniastą i Zwalistą Turnię. Świadomie czy też nie, ale był naśladowcą innego znakomitego uniwersyteckiego lekarza Tytusa Chałubińskiego.

Krzyształowicz kochał także muzykę, co w jakiejś mierze było u niego rodzinne – jego brat Kazimierz był pianistą i profesorem Wyższej Szkoły Muzycznej. Gdy przeniósł się do Warszawy, w swym mieszkaniu na Koszykowej 82a stworzył kolekcję obrazów: Jacka Malczewskiego, Jana Matejki, Stanisława Wyspiańskiego i Stanisława Ignacego Witkiewicza.

Krzyształowicza zajmowały jednak też rzeczy, których same nazwy mogły wywołać u laików wstręt i obrzydzenie. Profesor Krzyształowicz jak nikt inny znał się na: paciorkowcach, krętkach błędnych, wypryskach świerzbieżkowych i liszajach żrących. Był bowiem syfiliologiem, czyli mniej uczucie – specjalistą od wstydliwych chorób.

Z dermatologią zetknął się bliżej, pracując po studiach w szpitalu św. Łazarza. W 1899 roku wyjechał na wielomiesięczną prak-

tykę do Hamburga i Paryża. We Francji ukończył specjalistyczne studia uzupełniające w College de France (1900 r.). Po powrocie do Krakowa uzyskał stopień docenta i jako specjalista od chorób skórnych i wenerycznych rozpoczął wykłady na Uniwersytecie Jagiellońskim. W 1906 roku został profesorem nadzwyczajnym, a 13 lat później zwyczajnym. W praktyce lekarskiej nie przeszkodziła mu wojna. Powołany do wojska w stopniu majora, kierował oddziałem dermatologicznym szpitala garnizonowego. Miał pełno roboty, bo żołnierze armii austriackiej doznawali uszczerbku na zdrowiu nie tylko na froncie od wrażeń kul, ale i na przepustkach od... krętka błędnego.

Niedługo po uzyskaniu przez Polskę niepodległości, profesor Krzyształowicz skorzystał z zaproszenia Uniwersytetu Warszawskiego i przybył do stolicy. W 1919 roku został kierownikiem Katedry i Kliniki Dermatologicznej UW, stając się inicjatorem nauk dermatologicznych w Warszawie. Jako prezes Polskiego Związku Przeciwwenerycznego przeprowadził wielu akcjąm uświadamiającą i zapobiegającą „wstydlivej chorobie”. W roku akademickim 1924/25 został wybrany rektorem UW.

Był człowiekiem bezinteresownym, pogodnym, w poglądach politycznych zbliżonym do umiarkowanej lewicy. Należał do wolnomularstwa i do YMCA (Young Men's Christian Association – Związek Chrześcijańskiej Młodzieży Męskiej). W tym drugim stowarzyszeniu należał do inicjatorów budowy warszawskiego gmachu YMCA przy ul. Konopnickiej. Jego otwarcia już nie doczekał. Zmarł w październiku 1931 roku.

Dziś jego imię nosi szpital powiatowy w Olkuszu i największa sala Instytutu Radowego w Warszawie.



Franciszek Krzyształowicz,
fot. zbiory Muzeum UW



Wykład Franciszka Krzyształowicza w Klinice Chorób Skórnych i Wenerycznych,
fot. J. Stroszyński, zbiory WUM

Tekst o Franciszku Krzyształowiczu jest dwudziestym drugim z serii artykułów prezentujących sylwetki rektorów Uniwersytetu Warszawskiego. W następnym numerze dr Robert Gawkowski przybliży postać Stefana Piękowskiego.

Résumé

On the outskirts of the Solar System *Andrzej Udalski*

It has been for a long time a popular belief among astronomers that the outskirts of the Solar System may hold many mysteries. It was suspected that within the area located several tens of times farther away than the Earth's distance from the Sun is a band of small objects, so-called 'Kuiper Belt'. The first discovery in this field came however only just in the 90's of the last century. At the beginning of the XXI century, the number of such objects began to increase significantly. To the amazement of astronomers, aside from the expected small stellar objects, a few objects have been discovered which were of surprising scale. This has lead to vivid discussions within the science community concerning the definition of a planet. The astronomers realized that examining the Kuiper Belt objects may yield much valuable information about the birth and the evolution of our planetary system.

The difficult task of a complex overview of the sky in search of these objects has been undertaken by the scientists from the Astronomical Observatory of the University of Warsaw – the team of the OGLE Project. The Polish astronomers working in this area, are cooperating with American scientists from the Department of Terrestrial Magnetism w Carnegie Institution of Washington. The continuous scan of the Kuiper Belt objects has begun at the beginning of March. It soon lead to the discovery of four new objects, with the first observations indicating that they are in fact very interesting and belong to the group of large stellar objects. The searching of the Kuiper Belt will continue at the Las Campanas Observatory in Chile until October. More information on the subject is available at <http://ogle.astrouw.edu.pl>. (p. 17)

FLASH

A group of physicists from the University of Warsaw, in cooperation with scientists from Oxford and Toruń, have performed an experiment which will allow to increase the precision of measurements right up to the thresholds allowed by the fundamental principles of reality. The results of the experiment have been published in the June edition of the prestigious scientific magazine "**Nature Photonics**" in an article "Experimental quantum-enhanced estimation of a lossy phase Shift" written by dr Rafał Demkowicz-Dobrzański, dr Wojciech Wasilewski and prof. Konrad Banaszek from the Faculty of Physics of the University of Warsaw. (p. 8)

Archeologists from the University of Warsaw Antiquity of South-eastern Europe Research Centre engaged in excavations in the area of the antique region of Risan (currently Montenegro) have

discovered a **collection of 4600 coins** from III century B.C. All of the coins have been found collected in a single vessel. According to prof. Piotr Dyczek, the center director, this might be the single greatest treasure from this time period, which has ever been discovered by archeologists. The University's research in Risan is continuing since 2001. Until now, the center's workers have discovered within the city limits, two building complexes; the so-called "Villa with Meanders" and the "Villa of Hypnos" as well as a fragment of a Roman street. (p. 8)

In mid-May, the editorial Office of the "Perspectives" (Perspektywy) magazine as well as the daily newspaper "Rzeczpospolita", have announced the results of the **XI edition of the most prestigious ranking of higher education schools in Poland**. The first place was given to the University of Warsaw which gathered the maximum allowable number of 100 points. Our university has also ranked first in the category of "Best universities" and received the additional award for being the "Most multinational university". Out of the nine analyzed courses of study, four have received the highest marks for our university. First places were awarded to our university in the areas of social studies, law and administration, nature and biology as well as in the field of exact science. (p. 5)

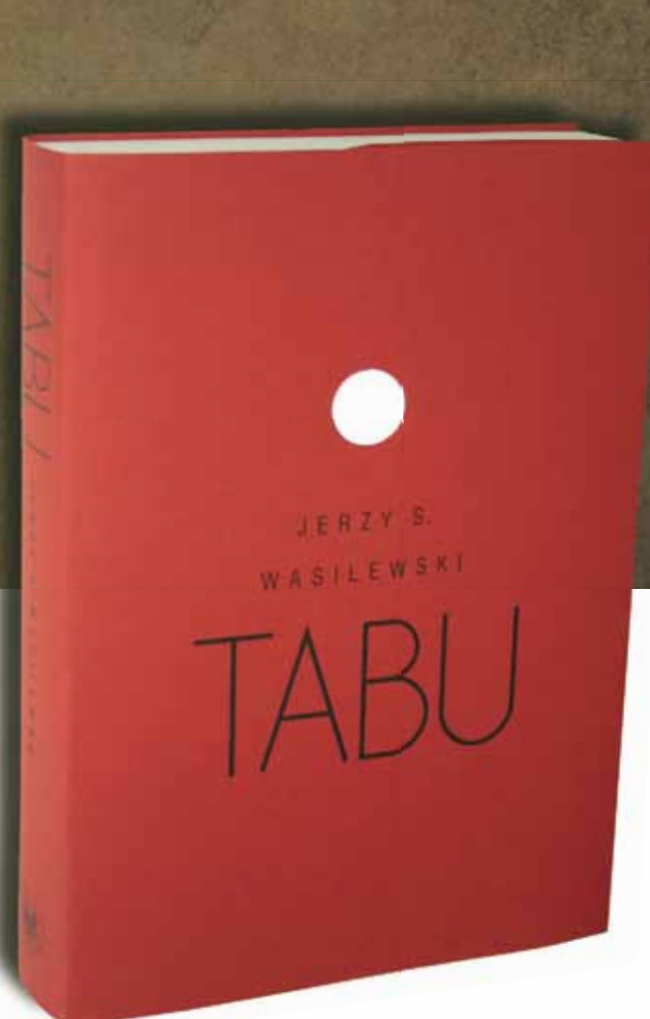
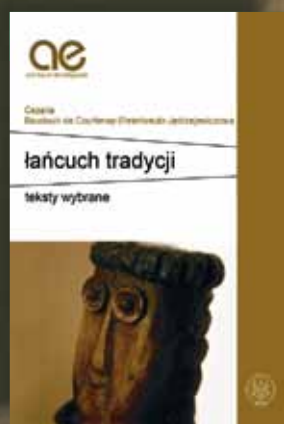
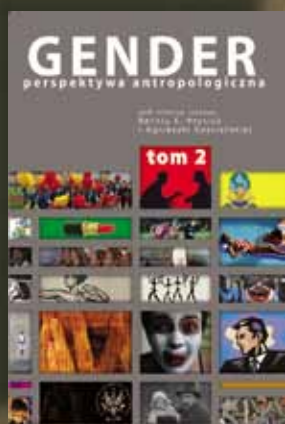
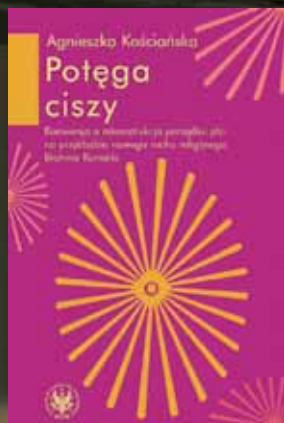
Prof. Włodzimierz Borodziej from the Faculty of History became a laureate of the **Carl von Ossietzky Award** which was originally founded by the city of Oldenburg. The award bears the name of a German writer and journalist, a laureate of the Nobel Peace Prize (1936) who was sent to a concentration camp in Dachau for his anti-Nazi and anti-war views. Prof. Borodziej has been awarded for his work in the area of Polish-German history of the 20th century. The historian has for many years cooperated with the German scientific community. He has lectured at the Universities in Dresden, Marburg and Jena. He holds the post as one of the board directors of "Käte Hamburger Kolleg" at the University of Friedrich Schiller in Jena. (p. 10)

The University of Warsaw became the international coordinator of the **Q-ESSENCE** project financed as part of the 7th European Union Framework Programme. The project puts forth the goal of making use of technological benefits of quantum physics. The EU has dedicated to its realization a sum of 6,5 million Euro. In the upcoming years, scientists will engage in the research of the phenomenon of quantum entanglement. The project was officially launched in February 2010 with the first partner's meeting taking place in Vienna in March with over 30 scientists from all of Europe taking part. More information: www.qessence.eu. (p.7)

ODESZLI

Barbara Konopka	emerytowany pracownik biblioteki w Instytucie Germanistyki	19 IV 2010
prof. dr hab. Aldona Jawłowska-Konstanciak	socjolog i antropolog kultury, pracownik Instytutu Stosowanych Nauk Społecznych	15 V 2010
prof. dr hab. Maria Ziemska	socjolog rodziny, długoletni pracownik Instytutu Stosowanych Nauk Społecznych	23 V 2010
prof. dr hab. Danuta Małecka	specjalistka w zakresie hydrogeologii, emerytowany pracownik Wydziału Geologii	10 VI 2010
Ewa Macios	pracownik sekretariatu prorektora ds. studenckich, powszechnienie lubiana i ceniona	13 VI 2010

Spośród najnowszych
publikacji proponujemy:



Jerzy S. Wasilewski
Tabu

Tabu to enigma. Nałożone na człowieka bez jego przemyślanej zgody, używa języka symbolicznego, zapomnianego przez rozumną część umysłu. Irracjonalność jest rękoią jego trwałości: strach naruszać mechanizm, którego działania nie umie się wyjaśnić.

Ma swoją historię – niejasną, i geografę – poplątaną. Przesycone lękiem polinezyjskie tapu to nie to samo, co pełne czci *thek* sudańskich Nuerów, co sekretne mongolskie *ceertej*, co cygańskie skalenie *marime* albo *magerdo*, przez polskich Romów tłumaczone jako wygardzenie, oznaczające na równi fizjologiczną nieczystość i społeczne wykluczenie. A polskie określenie? Czy trzeba używać zamorskiego terminu na opisanie zjawiska tak elementarnego?

Fragment kapitelu z krużganka
w Monreale, Sycylia,
fot. H. Kowalski

